NR 16 (1837) 16 KWIETNIA 2024

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

ZIELONA TERAPIA SZOKOWA

ISSN 0208-8045
9 770208 040450 16 INDEKS 379433
CENA 8,50 ZŁ (W TYM 8% VAT)

TYSOL.PL

- CO NAM MÓWIĄ WYBORY SAMORZĄDOWE?
- „PRZYSIĘGA IRENY" – FILM O ZWYCIĘSTWIE ŻYCIA

2024 ROKIEM

BŁOGOSŁAWIONEGO KSIĘDZA

JERZEGO POPIEŁUSZKI

UNIKATOWA OFERTA KOSZULEK NA:

WWW.SOLIDARNOSC.SKLEP.PL

eprasa.pl 739e5c70ee

Michał Ossowski
REDAKTOR NACZELNY

Zielony Ład miał być remedium na największą, jak przekonywali jego zwolennicy, katastrofę naszych czasów – katastrofę klimatyczną. Unia Europejska jednak z biegiem czasu z „zielonymi" zmianami znacznie przyspieszyła. Trudno oprzeć się wrażeniu, że urzędnicy unijni fundują nam terapię szokową, która ma być wprowadzona, zanim ludzie zdążą zastanowić się, czy ma ona sens i jaki właściwie ma przybrać kształt.

Solidarność od lat przekonuje, że Zielony Ład to wysokie koszty, i że planując zmiany związane z polityką klimatyczną, trzeba brać pod uwagę stan gospodarki poszczególnych państw UE.

Dzięki tym działaniom postrzeganie Zielonego Ładu wreszcie zaczyna się zmieniać.

Polacy zaczynają rozumieć, że Zielony Ład to nie jest pusta idea. To realne zagrożenie dla każdego z nas. To ryzyko utraty miejsc pracy, to wysokie koszty dla właścicieli domów i samochodów, to dodatkowe podatki. To upadek całych branż. Te zjawiska już zachodzą. Unijne normy odczuwa m.in. polskie górnictwo.

„Społeczeństwa Europy z coraz większym przerażeniem zauważają, że gwałtownie rośnie biurokratyczna ingerencja w nasze codzienne życie, która wnosi rygorystyczne decyzje do wykonania albo na już, albo na niebawem" – pisze Teresa Wójcik w tym numerze „TS".

Polacy też zaczynają to dostrzegać. I fakt, że Zielony Ład dotknie każdego, niezależnie od miejsca zamieszkania, wykonywanego zawodu czy poglądów politycznych.

„Eksperci i dokumenty rządowe wskazują, że transformacja spowoduje ubóstwo energetyczne ponad 11% odbiorców. Ponieważ w Polsce jest ponad 13 mln odbiorców indywidualnych, jest to prawie 1,5 miliona gospodarstw domowych, których dotknie ubóstwo" – mówi nam prof. Władysław Mielczarski. A to bardzo ważny, ale jeden z wielu skutków obecnej polityki klimatycznej UE.

Zielony Ład jest więc utopią, którą urzędnicy unijni z uporem chcą wcielić w życie. Jest utopią także dlatego, że – jak twierdzą eksperci – przyjmowane zapisy są niemożliwe do spełnienia. To wreszcie utopia, która jest niebezpieczna dla nas, ludzi.

Na to nie zgadza się już wiele środowisk w Polsce. Solidarność zdecydowała się na organizację wielkiego protestu 10 maja, podczas którego chce wyrazić swój sprzeciw w tej sprawie. Mamy prawo wyrazić swoje zdanie. Mamy prawo powiedzieć głośno: „Nie!". Mamy prawo wykrzyczeć: „Precz z Zielonym Ładem!". Zaczynamy na placu Zamkowym o godzinie 12. Do zobaczenia!

Mamy prawo powiedzieć głośno: „Nie!". Mamy prawo wykrzyczeć: „Precz z Zielonym Ładem!".

NA DOBRY POCZĄTEK WASIUKIEWICZ

eprasa.pl 739e5c70ee

16.04.2024
WYDANIE Nr
16

W TYM TYGODNIU:

TEMAT TYGODNIA

Zielona terapia szokowa

6	**Zbiedniejemy przez Zielony Ład. Rozmowa z prof. W. Mielczarskim**
10	**Wywłaszczonych łatwiej kontrolować. Rozmowa z prof. Z. Krysiakiem**
16	**Na krawędzi katastrofy**

KRAJ

Na naszych oczach bankrutuje III RP 20
Co nam mówią te wybory? 24
Damian Soból: „Nie ma problemów, są tylko rozwiązania!” 26
Ad calendas CPKas znaczy na święte nigdy 30

ZAGRANICA

Rewolucja w energetyce. Korea będzie pierwsza 32

ŚWIAT WEDŁUG CHODAKIEWICZA 36

KULTURA

Jestem dziewczyną ze wsi. I jestem z tego dumna. Rozmowa z E. Zakrzewską 38
„Przysięga Ireny” – film o zwycięstwie życia 42

HISTORIA

Malarz rybich skrzeli, który miał odwagę we krwi 46

RELIGIA

Sacrum władzy. Rozmowa z prof. Ł. Młyńczykiem 50

ZWIĄZEK

Co w związku 56
„Służba jest trudna i niewidoczna”. Rozmowa z A. Kołodziejskim 58

FELIETONY:

WOŚ 5
OKRASKA 19
GAC 23
PŁUŻAŃSKI 55
KRYSZTOPA 61

POLECAMY:

KARUZELA Z BLOGERAMI 15
Z ARCHIWUM TOMASZA GUTREGO 35
CZYTAM, CHADZAM, DORADZAM, ODRADZAM 44
PRAWO 62
SPORT 64

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ
Czasopismo NSZZ „Solidarność”

Adres redakcji: ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa

E-mail: redakcja@tygodniksolidarnosc.com

Tel./fax: 22 882 27 96

Wybór tekstów z każdego numeru „TS” na stronie: www.tysol.pl

Prezes zarządu:
Michał Ossowski

Redaktor naczelny:
Michał Ossowski
m.ossowski@tygodniksolidarnosc.com

Zastępca redaktora naczelnego:
Cezary Krysztopa, Rafał Woś

Sekretarze redakcji:
Beata Rojek, Aleksandra Paulus,
tel. 22 882 27 80

Dziennikarze: tel. 22 882 27 96; 22 882 08 21
Bartosz Boruciak, Marcin Krzeszowiec, Barbara Michałowska, Jakub Pacan, Robert Wąsik, Teresa Wójcik, Agnieszka Żurek

Felieton i komentarz:
Marek Jan Chodakiewicz, Karol Gac, Cezary Krysztopa, Magdalena Okraska, Remigiusz Okraska, Tadeusz Płużański, Rafał Woś

Stali współpracownicy:
Andrzej Berezowski, Paweł Gabryś-Kurowski, Ewa Górska, Piotr Łopuszański, Tomasz Oleksiewicz, Jakub Szmit, Mateusz Wyrwich

Łamanie:
Andrzej Chojnacki, Małgorzata Lewicka-Koniak
Foto: Tomasz Gutry, Marcin Żegliński
Rysunki felietonistów: Barbara Sadowska

Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo skrótów oraz zmian tytułów nadesłanych materiałów.

Dział marketingu: Konrad Wernicki
tel. 510 075 689, e-mail:
k.wernicki@tygodniksolidarnosc.com

Wydawca: TYSOL Sp. z o.o.
ul. Wały Piastowskie 24, 80-855 Gdańsk
nr konta: Mbank
58 1140 1065 0000 2038 9400 1001

Księgowość: tel. 58 308 42 69

Kolportaż: tel. 22 882 27 80, e-mail: kolportaz@tygodniksolidarnosc.com

eprasa.pl 739e5c70ee

Rafał Woś

Nowa terapia szokowa

Pamiętacie terapię szokową Leszka Balcerowicza z lat 90.? Kontynuowaną potem przez wszystkie niemal siły polityczne niezależnie od miejsca zajmowanego przy okrągłym stole? Solidarność pamięta ją dobrze. Wszak do dziś wymuszone otoczenie jej pierwszej fazy parasolem ochronnym uchodzi za jeden z największych błędów w historii najsilniejszego związku zawodowego w Polsce. Na szczęście „S" bardzo szybko zobaczyła, co się święci, i jako pierwsza duża organizacja przeszła na pozycje otwarcie wrogie wobec terapii szokowej.

A dlaczego przeszła? Bo to w polskich zakładach pracy, fabrykach, kopalniach i przedsiębiorstwach ludzie jako pierwsi odczuli na własnej skórze szok oraz wątpliwą terapię tamtych posunięć. Wymuszone zwolnienia, pospieszne prywatyzacje, wygaszanie mocy produkcyjnych, marnowanie kapitału ludzkiego, zubożenie całych miast i regionów. To były skutki tamtych liberalnych polityk. Jednocześnie o tych oczywistych zbrodniach na społecznej tkance oraz o posunięciach cofających naszą gospodarkę o całe dekady nie można było wtedy otwarcie mówić. A każdy, kto próbował, był przedstawiany jako „oszołom", przeciwnik wolności, demokracji, kapitalizmu i prozachodnich aspiracji Polski. Musiało minąć wiele, wiele lat, zanim do głów liberalnego establishmentu trafiło przekonanie, że coś poszło wtedy nie tak. „Byliśmy głupi" – powiedziało nawet paru z nich. Szkoda, że tak późno.

Dziś liberalny establishment mówi o „błędach i wypaczeniach" Polski balcerowiczowskiej już dość otwarcie. A na zwasalizowanej przez liberałów lewicy wielu pręży wręcz piersi do orderów. Piszą chętnie kolejne tomy „ludowej historii Polski". Ronią łzy nad losem PGR-ów. Odkrywają dramaty łódzkich włókniarek, którym transformacja wywaliła życie do góry nogami. I tak dalej.

Niestety. Im bardziej liberalny establishment przyznaje racje krytykom starej terapii szokowej, tym większą ślepotę wykazują wobec oczywistego faktu, że oto – tu i teraz – przyspiesza coś bliźniaczo podobnego. To nowa terapia szokowa, czyli narzucana nam w formie przeróżnych rozwiązań polityka klimatyczna Unii Europejskiej. Zwana ostatnio – trochę skrótowo – Zielonym Ładem. Logika jest tu bardzo podobna. Znowu narzucane metodą faktów dokonanych polityki ekonomiczne uderzają w zdolności produkcyjne gospodarki i bezpieczeństwo socjalne pracowników oraz obywateli. Znowu ludziom najpierw niszczy się życie i miejsca pracy, oferując w ich miejsce mglistą wizję, że przecież jakoś się to wszystko na nowo – i na zielono oczywiście – zorganizuje. Znowu w zasadzie nie wolno o tym dyskutować i podawać tego w wątpliwość, bo każdy, kto się ośmieli, jest gumkowany z rozmowy. I metkowany jako „klimatyczny kłamca", „lobbysta koncernów naftowych", „przyjaciel Putina", „antynaukowy populista", „przeciwnik integracji europejskiej". I wreszcie znowu – tak jak wtedy – musimy działać szybko. „Nie ma czasu do stracenia", bo „planeta się ugotuje", bo „przyszłe pokolenia". Klasyczna terapia szokowa. Dopychać kolanem, zanim się połapią.

Na szczęście jest jeszcze jedno „znowu". Znowu Solidarność jako pierwsza zauważyła, że cała ta polityka klimatyczna śmierdzi na kilometr. Związek od lat konsekwentnie ostrzega, jak fatalne konsekwencje przynosi przyjmowanie kolejnych filarów polityki klimatycznej: systemu handlu emisjami, wygaszanie mocy produkcyjnych w energetyce, duszenie rolnictwa czy ostatnio nowe ekopodatki grożące pauperyzacją albo wręcz wyzuciem najsłabszych z własności.

10 maja odbędzie się wielka manifestacja Solidarności przeciwko Zielonemu Ładowi. Chodzi o pokazanie, że tym razem może być inaczej. Możemy – a nawet musimy – przerwać to szaleństwo. Nie mamy ochoty czekać znowu wiele lat, aż establishment znów uroni łzę i powie „byliśmy głupi".

To nas nie urządza. Chodźcie z nami teraz. Bądźmy mądrzy przed szkodą.

eprasa.pl 739e5c70ee

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Temat Tygodnia

ZBIEDNIEJEMY przez Zielony Ład

– Narastające koszty energii, do których wkrótce dojdą jej braki, nie są efektem przypadkowych błędów, to jest zamierzony cel transformacji energetycznej. Źródła odnawialne są najtańszym sposobem, aby energię uczynić kosztowną dla społeczeństwa – mówi prof. **Władysław Mielczarski** w rozmowie z **Teresą Wójcik**.

– W masowych protestach europejscy rolnicy żądają, także w Polsce, rezygnacji z polityki klimatycznej UE. Rząd Donalda Tuska niby negocjuje z rolnikami, ale opracował Krajowy Plan na rzecz Energii i Klimatu do 2030 roku, który przyspiesza realizację programu „zero emisji". Do 2030 r. OZE w Polsce mają stanowić 50% w polskiej energetyce. Jak to się ma do żądań rolników?

– Rolnicy są jedną z wielu grup społecznych dotkniętych regulacjami wdrażającymi Plan na rzecz Energii i Klimatu. Są grupą dobrze zorganizowaną, ponieważ ich działalność gospodarcza jest ściśle powiązana z życiem prywatnym. W przypadku innych grup dolegliwości związane z Zielonym Ładem rozkładają się na życie prywatne i działalność firm, w których pracują. I dlatego pracownicy etatowi nie zawsze odczuwają obciążenia, które na ich firmy nakłada nowa polityka energetyczna. Mogą to odczuwać tylko pośrednio, kiedy firma bankrutuje, a oni tracą pracę. Z drugiej strony jako odbiorcy energii są obciążani coraz to nowymi daninami na rzecz Zielonego Ładu, które czasem w sposób bezpośredni pojawiają się na rachunkach za energię, jak wysokie ceny energii oraz różnego rodzaju opłaty, ale również ponoszą koszty energetycznej transformacji poprzez inflację, która jest napędzana coraz to nowymi podatkami na rzecz polityki klimatycznej. Rolnicy są po prostu w pierwszym szeregu tych, których dotknęły koszty transformacji i również najszybciej te koszty odczuwają zarówno w budżetach prowadzonych gospodarstw, jak i budżetach domowych.

MECHANIZMY TRANSFORMACJI ENERGETYCZNEJ POWODUJĄ, ŻE KOSZTY PONOSZĄ WARSTWY NAJBIEDNIEJSZE.

– I czy ten wyśrubowany wynik jest realny?

– Program „zero emisji" jest nierealny, ponieważ na przeszkodzie nie stoją już różne grupy społeczne, które można w jakiś sposób spacyfikować

eprasa.pl 739e5c70ee

Fot. arch.

czy nawet przekupić. Na przeszkodzie realizacji tego programu stanęły prawa fizyki, a tych przekupić nie można. Obserwujemy to każdego tygodnia również w Polsce, kiedy operator sieci wyłącza farmy wiatrowe i fotowoltaiczne. System elektroenergetyczny działający zgodnie z prawami fizyki nie akceptuje nadmiaru źródeł odnawialnych i nie ma z nim dyskusji, i OZE trzeba wyłączać, sprowadzając ich generację do poziomu akceptowalnego, a wynikającego z poboru energii przez odbiorców.

– Entuzjaści polityki klimatycznej przekonują, że OZE najlepiej zapewniają bezpieczeństwo energetyczne, ponieważ wiatr i słońce są dostępne wszędzie i nie trzeba za nie płacić. Każdy kraj ma do nich taki sam dostęp. Czy moce zainstalowane w OZE są dyspozycyjne? Jak jest realnie?

– W propagandzie Zielonego Ładu mówi się, że energia ze źródeł odnawialnych jest najtańsza, ale to nie jest prawda. Kiedy policzy się wszystkie subsydia dla OZE, te bezpośrednie i pośrednie, a jest

eprasa.pl 739e5c70ee

już ich ponad siedem, to okazuje się, że energia ze źródeł odnawialnych jest bardzo kosztowana, znacznie bardziej niż z klasycznych elektrowni konwencjonalnych: węglowych czy gazowych. Trzeba pamiętać, że celem polityki klimatycznej jest, aby energia była kosztowna i aby tej energii brakowało. Narastające koszty energii, do których wkrótce dojdą jej braki, nie są efektem przypadkowych błędów, to jest zamierzony cel transformacji energetycznej. Źródła odnawialne są najtańszym sposobem, aby energię uczynić kosztowną dla społeczeństwa.

PO ROKU 2030 BRAKI W DOSTAWACH ENERGII MOGĄ TRWAĆ PONAD 600 GODZIN ROCZNIE.

– Czy w Polsce musimy przygotować się na blackouty, czyli przerwy w dostawach prądu? Jak długo mogą one trwać?

– Społeczeństwo powinno przygotować się na braki energii elektrycznej. Są dokumenty publikowane przez Ministerstwo Klimatu i Środowiska pokazujące, że już po 2026 roku, kiedy część starych elektrowni zostanie zlikwidowana, zaczną występować braki energii elektrycznej. Początkowo będzie to kilkanaście i kilkadziesiąt godzin rocznie, a po roku 2030 braki w dostawach energii mogą trwać ponad 600 godzin rocznie, czyli jest to prawie okres jednego miesiąca. To spowoduje przerwy w działaniu gospodarki i degradację życia społeczeństwa.

Kiedy nie wieje wiatr, a zdarza się to dosyć często, bo elektrownie wiatrowe wykorzystują swoje moce tylko przez około 2300 godzin rocznie, podczas gdy rok ma 8760 godzin i kiedy nie ma słońca, bo panele PV wykorzystują moc tylko przez 1000 godzin rocznie, to energię dla społeczeństwa i gospodarki mogą dostarczyć tylko elektrownie gazowe lub węglowe. Dostawy gazu ziemnego są zbyt małe dla wielkoskalowej energetyki, a elektrownie węglowe mają ulec likwidacji. Mówi się o energetyce jądrowej, ale to myślenie życzeniowe. Nawet gdyby jakaś elektrownia jądrowa została w Polsce wybudowana, to po roku 2040, ale wtedy polityka klimatyczna doprowadzi do takiego stanu, że nie będzie ona już potrzebna.

– Bardzo wiele miejsca w mediach poświęca się magazynom energii, które mają chronić właśnie przed przerwami w dostawach prądu. Czy te magazyny mogą być tak pojemne, że spełniać będą to zadanie?

– Magazyny energii, którymi dysponujemy, to głównie magazyny chemiczne (litowo-jonowe). Są to magazyny krótkookresowe mogące przechowywać energię przez kilka dni. Mają one również niewielką pojemność. Największy magazyn w Polsce ma pojemność 500 MWh i jest w stanie przechować przez kilka dni energię, którą przez pół godziny wyprodukuje typowy energetyczny blok konwencjonalny. Potrzebne byłyby magazyny długookresowe, które energię wyprodukowaną na wiosnę i w lecie mogłyby przechowywać do zimy, czyli przez okres co najmniej sześciu miesięcy, a takich magazynów nie ma i nie będzie, bo nie pozwalają na to prawa fizyki.

Energii elektrycznej nie można magazynować bezpośrednio, bo ta energia to ruch elektronów, a ruchu nie można zmagazynować. Energię magazynuje się w formach pośrednich, takich jak: energia potencjalna w elektrowniach szczytowo-pompowych czy stosuje się magazyny chemiczne, jak w akumulatorach samochodowych. Są to metody mało wydajne i ograniczone do niewielkich ilości energii i krótkiego okresu magazynowania.

ENERGII ELEKTRYCZNEJ NIE MOŻNA MAGAZYNOWAĆ BEZPOŚREDNIO, BO TA ENERGIA TO RUCH ELEKTRONÓW, A RUCHU NIE MOŻNA ZMAGAZYNOWAĆ.

– Z tymi magazynami oprócz propagandowego entuzjazmu jest jednak sporo niejasności. Magazyn to pomieszczenie, w którym przechowuje się towary i skąd się je pobiera w niezmiennej postaci, jakości i wielkości. Czy tak pobiera się energię elektryczną z tych „magazynów"? Jaka jest np. ich pojemność? Czy wystarczy tego zasobu energii np. na kilka dni, kiedy jest flauta i nie ma słońca?

– Pracę magazynów, którymi dysponujemy obecnie (litowo-jonowych) w systemie elektroenergetycznym,

eprasa.pl 739e5c70ee

możemy podzielić na dwa główne okresy: wiosenno-letni i jesienno-zimowy. W czasie wiosny i latem produkcja energii elektrycznej z OZE, z paneli PV, szczególnie kiedy jeszcze jest trochę wiatru, jest tak duża, że energię wyprodukowaną w dzień nie jesteśmy w stanie zużyć w nocy ze względu na małe zapotrzebowanie. Magazyny rozładowują się do 80% swojej pojemności, po czym następnego dnia doładowują się do 100%. W tym okresie naładowanie magazynów często oscyluje wokół 80–100%, wykorzystując tylko 15–20% swojej pojemności.

Odwrotnie jest w okresie jesienno-zimowym, kiedy magazyny szybko rozładują się, a w kolejnych dniach, ze względu na małą energię Słońca, nie są się w stanie naładować więcej niż 20%. I w tym okresie naładowania magazynów oscyluje w zakresie 0–20%, powodując ich niskie wykorzystanie. Możemy oczywiście wybudować magazyny o wielkiej pojemności, ale ich wykorzystanie będzie niewielkie, a koszty bardzo duże.

Typowe dla naszego klimatu są flauty (okresy bezwietrzne), które najczęściej zdarzają się w listopadzie i styczniu i trwają około 5–7 dni. W tym okresie produkcja ze źródeł odnawialnych jest niewielka, bo przecież nie ma wiatru, a energia promieniowania w listopadzie czy styczniu jest niewielka, z reguły nie przekracza 3–5% całej potrzebnej energii, mimo że moce zainstalowane w OZE są już na poziomie mocy elektrowni konwencjonalnych. W okresie flaut jesienno-zimowych prawie cała energia musi być wyprodukowana przez elektrownie konwencjonalne: węglowe i gazowe. Kiedy takich elektrowni zabraknie, będziemy mieli awarię systemu (blackout), który szczególnie w okresie jesienno-zimowym jest bardzo kosztowny dla społeczeństwa i gospodarki.

– W 2040 r. mamy osiągnąć pełną dekarbonizację, znikną elektrownie węglowe, zapewne też gaz ziemny. Komisja Europejska – a więc też polski rząd – dąży do masowego wprowadzania pomp ciepła i solarów na dachach. Czy to realistyczny projekt? A jakie będą jego koszty?

– Osiągnięcie pełnej dekarbonizacji jest nierealne nie tylko w roku 2040, ale i 30 lat później. Po prostu nie ma czym zastąpić elektrowni węglowych. Panele PV są w stanie produkować energię, ale w okresie wiosenno-letnim, kiedy pompy ciepła nie pracują, bo nie jest konieczne ogrzewanie. Natomiast zimą, kiedy potrzebna jest energia dla pomp ciepła, panele PV wytwarzają niewielkie ilości energii. I znów pojawia się potrzeba długoterminowego magazynowania energii elektrycznej. Jednak magazynów takich nie mamy i mieć nie będziemy, bo nie pozwalają na to prawa fizyki.

Niezależnie z której strony analizujemy problem transformacji energetycznej, zawsze dochodzimy do tego samego wniosku, że dekarbonizacja jest nierealna.

OSIĄGNIĘCIE PEŁNEJ DEKARBONIZACJI JEST NIEREALNE NIE TYLKO W ROKU 2040, ALE I 30 LAT PÓŹNIEJ. PO PROSTU NIE MA CZYM ZASTĄPIĆ ELEKTROWNI WĘGLOWYCH.

– Eksperci oceniają, że w 2030 roku poziom ubóstwa energetycznego w Polsce będzie wynosić 11% dzięki polityce klimatycznej. To ogromne obciążenie. Co ono znaczy dla społeczeństwa i dla państwa? A co z gospodarką polską?

– Eksperci i dokumenty rządowe wskazują, że transformacja spowoduje ubóstwo energetyczne ponad 11% odbiorców. Ponieważ w Polsce jest ponad 13 mln odbiorców indywidualnych, jest to prawie 1,5 miliona gospodarstw domowych, których dotknie ubóstwo.

Nie jestem zwolennikiem określenia „ubóstwo energetyczne", ponieważ jest to próba tuszowania skali prawdziwego ubóstwa, które powoduje, że ludzi nie stać na zaspokojenie najbardziej podstawowych potrzeb, jak potrzeba korzystania z energii, szczególnie w naszym klimacie.

Mechanizmy transformacji energetycznej powodują, że koszty ponoszą warstwy najbiedniejsze, a bogacą się zamożni. To przecież „biedne blokowisko dopłaca do paneli PV zamożnych posiadaczy podmiejskich willi".

Transformacja energetyczna jest w praktyce realizacją polityki neoliberalnej prowadzącej do koncentracji zasobów w najzamożniejszych warstwach społecznych, przy pauperyzacji szerokich warstw społeczeństwa.

Władysław Mielczarski, polski inżynier energetyk, automatyk, profesor nauk technicznych, wykładowca w Instytucie Elektroenergetyki Politechniki Łódzkiej. Pracował na uczelniach w Australii, Singapurze i Kanadzie.

eprasa.pl 739e5c70ee

Wywłaszczonych łatwiej kontrolować

– W Zielonym Ładzie chodzi o to, by ludzie nie kumulowali kapitału, by mieli niespłacalne kredyty, wtedy odbierze im się własność. Czyli chodzi o to, żeby byli niewolnicy, którzy jako tako funkcjonują, ale nie posiadają kapitału, bo wówczas mogliby wpływać na decyzje i losy narodu oraz własne dzieje – mówi prof. **Zbigniew Krysiak** w rozmowie z **Jakubem Pacanem.**

– „Byt określa świadomość" – w tym haśle determinizmu ekonomicznego kryje się prawda o konsekwencjach aksjologicznych Zielonego Ładu?

– Skutkiem Zielonego Ładu będzie nowa koncepcja aksjologiczna, która dokona się poprzez deformowanie

Fot. M. Żegliński

eprasa.pl 739e5c70ee

i dekonstrukcję duchowego, intelektualnego, logicznego i psychicznego dziedzictwa wyrosłego z wartości chrześcijańskich. W UE od dawna przygotowywany jest grunt pod pozbawienie ludzi logicznego i krytycznego myślenia, po to, by bez zastanowienia godzili się na absurdy związane m.in. z Zielonym Ładem. Nie ma propozycji ani modelu w Unii realizacji transformacji energetycznej, której celem byłaby redukcja ceny energii według normalnego modelu biznesowego. W normalnym trybie najpierw przygotowujemy pewne plany operacyjne, alokujemy zasoby i układamy struktury organizacyjne, aby w końcu dokonać bilansu kosztów i nakładów finansowych umożliwiających realizację zaproponowanej strategii, a także ostatecznie ocenić możliwości pozyskania odpowiednich źródeł finansowania umożliwiających wdrożenie zaplanowanej strategii. W przypadku braku finansowania strategię trzeba skorygować adekwatnie do możliwości dostępnych zasobów finansowych. Należy podkreślić, że każda strategia musi działać rozwojowo na gospodarkę i potencjał ekonomiczny gospodarstw domowych, a zatem nie może wpływać destrukcyjnie, z czym mamy do czynienia obecnie w odniesieniu do chaotycznych i stale zmieniających się pomysłów w ramach tzw. zielonego nieładu.

– Nie wiadomo, z czego sfinansowany ma być Zielony Ład, z jakich podatków.

– Przygotowanie ideologiczne niszczące konstrukcję człowieka robione jest właśnie po to, by ludzie nie byli w stanie się zorientować, że król jest nagi. Nie ma racjonalnego modelu, planu operacyjnego dla Zielonego Ładu. W biznesie sprawdzamy, czy mamy pieniądze na inwestycję, czyli badamy źródła finansowania. Jeśli źródeł finansowania nie ma, to trzeba skorygować plan inwestycji, by wszystko się bilansowało. W przypadku Zielonego Ładu ta prosta i podstawowa logika nie występuje. Zamiast tego mamy nakręcanie lęku, że planeta się pali, a powietrze jest takie, że nie można nim już oddychać. Ogłupianie ludzi skutkuje tym, że większość nie potrafi zrozumieć, że Europa generuje tylko 8% dwutlenku węgla. Nawet, gdy zredukujemy do zera naszą emisję, to reszta świata wyprodukuje jej coraz więcej i nie ma zapory, która uchroniłaby nas przed przepływem CO_2 z Azji do Europy.

– Może chodzi o zlikwidowanie „ostatniego prawa metafizycznego", jak pisał Richard M. Weaver, w Europie, czyli prawa własności?

szość by go nie otrzymała, ponieważ nie ma zdolności kredytowej.

– Zatem nowa terapia szokowa?

– Zatem ideolodzy i budowniczy superpaństwa w Europie rozegrają to w ten sposób, że pojawi się poręczyciel, różne grupy korporacyjne, oligarchiczne, które będą chciały zrobić na tym biznes. Rządzący UE stworzą furtkę mówiącą, że jeśli taki gwarant kredytu się pojawi, to banki mają wyrażać zgodę na kredyty. Kredyt ma być spłacany, a gwarant wstąpi w prawa własności, czyli kredyt będzie obciążał hipotekę dotychczasowego właściciela, ale tym, który uprawniony będzie

W ZIELONYM ŁADZIE MAMY FRONTALNY ATAK NA CAŁĄ STRUKTURĘ SPOŁECZNĄ I REALIZUJE TO CAŁA MACHINA UE, A W TEN „ŁAD" WPRZĘGNIĘTE SĄ WIELKI BIZNES I PRZEMOC KAPITAŁOWA.

Może Zielony Ład ma doprowadzić do powszechnego bankructwa Europejczyków?

– Dokładnie, żeby ludzie nie potrafili myśleć i zadawać logicznych pytań, trzeba im stworzyć chaos, destrukcję. Wtedy będą znieczuleni na okoliczność odbierania własności. Podam przykład ocieplania domów. W tej chwili koszty transformacji wynikające z Zielonego Ładu przypadające na pracującego Polaka w ciągu dziesięciu lat, uwzględniając różne elementy „proekologiczne", wynoszą od 30 do 60 tys. zł rocznie. Przez dziesięć lat wychodzi od 300 do 600 tys. Gdybyśmy dzisiaj tych wszystkich pracujących Polaków zmusili, by dzisiaj poszli do banku po taki kredyt, to większość by go nie otrzymała, ponieważ nie ma zdolności kredytowej.

do własności, jest oligarcha. Wiadomo, że większość ludzi nie będzie w stanie spłacić tego kredytu, spłaci tylko część, oligarcha spłaci resztę, to oznacza, że w którymś momencie oligarcha stanie się właścicielem domu. Na koniec właściciele staną się lokatorami takich nieruchomości. W ten sposób dojdziemy do sytuacji, gdzie będą dwie grupy: klasa rządzących i posiadających aktywa oligarchów i klasa pracująca bez własności. Ten schemat można zastosować do wszystkich obszarów, także np. do rolników.

– W jaki sposób?

– Polityka mówiąca, że będziemy tutaj ugorować, a żywność sprowadzimy

eprasa.pl 739e5c70ee

sobie z Ameryki Południowej, jest pewną grą na okres przejściowy. Nikt nie pozwoli sobie na ugorowanie całych obszarów rolnych, w tym przypadku chodzi o doprowadzenie do bankructwa rolników. W miejsce zbankrutowanych rolników także wejdą oligarchowie, a rolnicy staną się grupą ludzi pracujących w ich latyfundiach, podobnie jak to się dzieje na Ukrainie. Dokładnie tak było w starożytnym Rzymie. Po Grecji rozwijały się dobrze małe gospodarstwa rolne. Grecy w pewnym momencie nawet odchodzili od niewolnictwa, bo stwierdzili, że to szkodzi jakości rolnictwa. Jednak rzymscy właściciele latyfundiów przejmowali te małe gospodarstwa, ponieważ mieli dopływ niewolników i wygrywali konkurencję. Właściciele małych gospodarstw rolnych bankrutowali i przenosili się do Rzymu. W którymś momencie 300 tys. zbankrutowanych rolników, na milion mieszkańców Rzymu, było karmionych produkcją z latyfundiów. Po upadku Rzymu przejście do okresu feudalizmu było rozkwitem, bo stworzono bardzo innowacyjny system tzw. włości, który odbudował rolnictwo i zapewnił rozkwit. W systemie włości tylko 30% ziemi należała do pana, zaś reszta do chłopów. My obecnie stoimy przed ryzykiem powrotu do starożytności, gdyż jesteśmy w procesie tworzenia latyfundiów. Niektórzy mówią, że średniowiecze było zacofane, a zatem spójrzmy, że jeśli przyjmiemy ten niszczący kierunek do superpaństwa, to znajdziemy się w prymitywnym systemie latyfundiów z czasów cesarstwa rzymskiego. Kluczową przyczyną powstania wówczas latyfundiów było odejście od wartości etycznych Arystotelesa, zaś po rozkwicie w średniowieczu ponownie odchodzono od etyki chrześcijańskiej na rzecz liberalizmu, materializmu i nauki kartezjańskiej, w czym pomijano całkowicie wszystkie inne natury człowieka, tworząc z niego homo economicus bez duszy i ograniczając się tylko do materii, biologii, przyrody i fizyki.

NIE MOŻEMY GODZIĆ SIĘ NA PODDAŃSTWO BRUKSELI. ZAWSZE BĘDĘ POWTARZAŁ: TO JEST NASZ DOM I NIE MOŻEMY GODZIĆ SIĘ NA TO, BY SĄSIAD CZY BRUKSELA NAM GO URZĄDZALI. PO PROSTU TRZEBA MÓWIĆ „NON POSSUMUS”.

– To inżynieria społeczna, przy której rewolucja obyczajowa z 1968 roku jawi się jako przedszkole?

– To dobre porównanie. Nawet po 1968 roku pozycja wartości chrześcijańskich właściwie w całej Europie nadal była mocna i silna, ponieważ była to rewolta głównie studencka. Proces odejścia od wartości chrześcijańskich trwał dekady. Tutaj mamy frontalny atak na całą strukturę społeczną i realizuje to cała machina UE, a w Zielony Ład wprzęgnięte są wielki biznes i przemoc kapitałowa. W ekonomii mówi się o społecznej odpowiedzialności biznesu, a zdeformowani ideologicznie właściciele wielkiego kapitału społeczną odpowiedzialność biznesu nie traktują jako konstruktywne wsparcie rozwoju człowieka we wszystkich wymiarach i jego otoczenia, czyli społeczeństwa, tylko ich odpowiedzialność polega na przenoszeniu założeń rewolucji obyczajowej, która ma niszczyć rodzinę, psychikę, etykę, duszę, logikę i wolność myślenia. O wielkim zagrożeniu, wynikającym z tej ideologii, zabijania duszy naszych narodów w Europie mówił już w 1961 r. Czcigodny Sługa Boży Robert Schuman, który przedstawiał to w następujący sposób: „Strzeżcie się tych, których czar prowadzi nas do bierności. Strzeżcie się tych, którzy chcą uśpić nas w fałszywym poczuciu bezpieczeństwa. Strzeżcie się dostarczycieli pustych zapewnień obiecujących złudne środki do realizacji bezpieczeństwa. Oni starają się wprowadzać etapami i krok po kroku to, co zdrowy duch narodu odrzuca i się temu sprzeciwia. Ostateczny ich cel jest jasny. Oni starają się zgasić życie religijne w krajach i w ludziach. Z miłości do naszych dzieci chcemy zapobiec tym następstwom. Taka nasza postawa, którą przyjmujemy, nie powinna wynikać tylko z przeciwstawienia się, ale przede wszystkim z tego, że nie możemy zdradzić duszy naszego narodu”.

– To, o czym Pan mówi, to wprowadzenie w Europie systemu kast na wzór indyjski.

– Dokładnie. Od wielu lat trwa praca nad taką przemianą człowieka, by się nie buntował. Mało się o tym mówi, ale wielcy inżynierowie społeczni świata zachodniego, jak np. Klaus Schwab, mają doskonale przygotowane systemy ratingów ludzi, na wzór tych działających w Chinach. Rating obywateli w Chinach wiąże się z tym, że ludzie za pomocą kar i nagród wchodzą w pewne przyzwyczajenia.

eprasa.pl 739e5c70ee

– Zielony Ład uderza w demokrację i wolność. Przecież ten projekt nie ma żadnej legitymizacji w społeczeństwach Europy.

– Najlepszą odpowiedzią na to są słowa samego Altiero Spinellego, włoskiego polityka, który po drugiej wojnie światowej forsował koncepcję federalizacji Europy. On jasno mówi, że w jego rewolucji i budowaniu europejskiego superpaństwa działania totalitarne i przemoc muszą być stosowane, bo mają prowadzić do budowania tzw. nowego świata. Gdy przyjrzymy się myśli chaosu Spinellego, to odkryjemy, że on krytykował tylko jeden totalitaryzm, hitlerowski. On nie krytykował nawet totalitaryzmu Stalina. Dla europejskich elit spod znaku Spinellego to, co teraz mamy w UE, to nie jest jeszcze demokracja. Oni chcą stworzyć nową demokrację już bez tradycji, historii narodów, wiary i Kościoła. Niestety wielu polityków i obywateli zaczyna się do tego przyzwyczajać, godzić się z Zielonym Ładem, coraz częściej słyszymy, że Tusk był w Brukseli, ale nic nie załatwił, bo on nic nie może, bo takie są przepisy w UE itp. I społeczeństwo coraz częściej akceptuje taki stan rzeczy. Tymczasem trzeba myśleć i działać inaczej, bo tu jest nasz dom – Polska, i musimy myśleć po polsku i rządzić się po polsku, a nie po niemiecku lub brukselsku. Tu trzeba przytoczyć tekst piosenki Kapeli znad Baryczy: „Bo my są Polska, co nie zginęła/, bo my są Polska, co Bogiem żyje/, bo my są Polska spod znaku krzyża/, bo polskie serce pod krzyżem bije".

– Godzimy się na poddaństwo?

– Różne siły z Niemiec i Brukseli chcą wprowadzić nam schemat, „że my nie mamy tutaj wpływu, bo wpływ ma Bruksela", i wiele osób w Polsce daje się na to nabrać. Nie możemy godzić się na poddaństwo. Zawsze będę powtarzał: to jest nasz dom i nie możemy godzić się na to, by sąsiad czy Bruksela nam go urządzali. Po prostu trzeba mówić „non possumus" i robić swoje, i nie bójmy się, że mogą cokolwiek nam zrobić, albo najechać czołgami, których i tak nie mają. Bundeswehra jest zdemolowana po latach, kiedy ministrem obrony w Niemczech była Ursula von der Leyen. Teraz ona demoluje wspólnotę europejską, bo ludzie Spinellego mają mentalność destruktorów, a nie konstruktorów, i o tym musimy pamiętać we wszystkich działaniach, dlatego stańmy do apelu i budujmy w Polsce i Europie ruch oporu przeciwko superpaństwu w Europie.

– Zielony Ład to nie jest projekt zamknięty, my na dzisiaj nie wiemy, kiedy zatrzymają się jego pomysłodawcy.

– Dlatego budowniczy superpaństwa starają się wszelkimi metodami wyłączać ludziom myślenie i logikę. Wszelkie wcześniejsze godzenie się na odbieranie nam suwerenności krok po kroku trzeba odbierać jako godzenie się na konszachty z diabłem. Gdy ktoś z zewnątrz narzuci nam lub reguluje wolność, własność i autonomię, to znaczy, że je utraciliśmy. Nie możemy się godzić, by Trybunał tzw. Sprawiedliwości w Luksemburgu, który jest faktycznie narzędziem w procesie budowania superpaństwa, stał się naszym punktem odniesienia, który rozstrzyga nasze sprawy. Jeśli utrwali się to w mentalności, będziemy na straconej pozycji.

– To się już dzieje. Wielu młodych ludzi nie chce kupować mieszkania, lecz je wynajmować, wynajmują samochody, nawet rowery.

– Tutaj chodzi jeszcze o coś innego, nie wszyscy będą mieli własne domy. W Zielonym Ładzie chodzi bardziej o to, by ludzie nie kumulowali kapitału. Swoją drogą, to właśnie coraz większym kapitałem polskich gospodarstw domowych zaniepokojone są Niemcy. Sam Spinelli mówił o pensji gwarantowanej po to, by człowiek jakoś funkcjonował, ale na takim poziomie, by nie mógł kumulować kapitału. Czyli chodzi o to, żeby byli niewolnicy, którzy jako tako funkcjonują, ale nie posiadają kapitału, bo wówczas mogliby wpływać na decyzje i losy narodu oraz własne dzieje.

MAŁO SIĘ O TYM MÓWI, ALE WIELCY INŻYNIEROWIE SPOŁECZNI ŚWIATA ZACHODNIEGO, JAK NP. KLAUS SCHWAB, MAJĄ DOSKONALE PRZYGOTOWANE SYSTEMY RATINGÓW LUDZI, NA WZÓR TYCH DZIAŁAJĄCYCH W CHINACH.

Prof. Zbigniew Krysiak – ekonomista, wykładowca SGH i zagranicznych uczelni, przewodniczący Rady Programowej Instytutu Myśli Schumana.

eprasa.pl 739e5c70ee

To ważne, żeby przekazywać dzieciom SWOJE WARTOŚCI

AUTORSKIE KOSZULKI ZWIĄZANE
Z TEMATYKĄ SOLIDARNOŚCI
LUB KOSZULKI Z LOGO ZWIĄZKU
ZNAJDZIESZ NA
WWW.SOLIDARNOSC.SKLEP.PL

WWW.SOLIDARNOSC.SKLEP.PL

eprasa.pl/a39e5c70ee

KARUZELA Z BLOGERAMI

ROSEMANN

POLITYCY W ROZMIARZE EUROPEJSKIM

Przed zbliżającymi się wyborami do Parlamentu Europejskiego od jakiegoś czasu trwa giełda nazwisk kandydatów, którzy będą reprezentować w nich poszczególne ugrupowania. Zapewne najgłośniejsze to nazwiska Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika z PiS, pozbawionych mandatów w sposób, który przez sporą część wyborców uznany został za bezprawny i bandycki.

Ciekawsze są typy dotyczące nominatów partii obecnej koalicji i rządu. Pierwsze nazwiska, krążące w przestrzeni publicznej, to nazwiska ministra kultury i dziedzictwa narodowego Bartłomieja Sienkiewicza i – nieco rzadziej – ministra sprawiedliwości Adama Bodnara.

Nazwiska Sienkiewicza i Bodnara w kontekście eurowyborów pojawiać się zaczęły na długo przedtem, zanim w ogóle ich temat zaczął krążyć w publicznych dyskusjach. Działania pierwszego z panów przy przejmowaniu telewizji publicznej i dorobek drugiego związany z działaniami przeciwko Kamińskiemu i Wąsikowi oraz przejmowaniem prokuratury zaowocowały podejrzeniami, że panowie nie obawiają się prawnych skutków swych budzących spore wątpliwości działań, gdyż mają zagwarantowaną ochronę w postaci przyszłego immunitetu w Parlamencie Europejskim, którego łatwo nie da się uchylić, nawet gdy obecna koalicja straci władzę w Polsce.

Ujawnienie planów kandydowania przez Sienkiewicza i – być może – Bodnara do europarlamentu staje się kanwą do snucia przypuszczeń nad powodem rozważania takich kroków. Nie minął wszak jeszcze nawet rok – a zaledwie sto dni (!) – od przejęcia władzy przez obecny układ polityczny i zarówno pan Sienkiewicz, i pan Bodnar chyba mają jeszcze w Polsce wiele do zrobienia. W swoim niepowtarzalnym stylu. Skąd zatem te spekulacje?

Zważywszy na szczególne miejsce posłowania w europarlamencie w hierarchii karier naszych polityków, można przyjąć sugestie niektórych, że Bodnar i Sienkiewicz otrzymają wkrótce nagrodę za swoje poświęcenie i postawienie na szali swej (powiedzmy...) reputacji oraz – być może nawet – wolności. Sute europejskie diety to ogromna rekompensata za wkład w budowanie siły obecnej władzy. Wiadomo, że ze Strasburga wraca się jako milioner nawet po jednej kadencji. Kazimierz Kik, komentując ewentualność przeniesienia się niektórych obecnych ministrów z Warszawy do stolicy Alzacji, powiązał to z ich specyficzną rolą w obecnym układzie politycznym: „To są politycy pierwszego uderzenia. Kiedy uda im się wyeliminować «pola minowe», partie wystawią ich w wyborach do PE. Potrzeba w nich pewniaków, bo w Brukseli toczy się walka o utrzymanie władzy przez zwolenników integracji europejskiej”.

Faktycznie i Sienkiewicz, i Bodnar swymi działaniami zaskarbili sobie uznanie swoich wyborców i „wykręcą” w wyborach oszałamiające wyniki.

Jednak można też uznać, że ta ewakuacja to także dowód braku pewności obecnej władzy, czy uda się zapewnić „ciągłość władzy” w kolejnej kadencji. I najbardziej zasłużeni w budowaniu „terroru praworządności” wolą zapewnić sobie bezpieczne miejsce, z którego spokojnie będzie można w przyszłości przyglądać się „terrorowi praworządności” w wykonaniu politycznej konkurencji.

eprasa.pl 739e5c70ee

Na krawędzi katastrofy

Ceny energii elektrycznej przewyższą możliwości budżetów europejskich. Głównie domowych czy rodzinnych, ale będą trudne do udźwignięcia także dla **całych państw**. Eksperci ostrzegają przed skutkami przyspieszenia Zielonego Ładu – przed katastrofą, do której Unia uparcie dąży.

Teresa Wójcik

Coraz częściej w mediach czytamy o nowych rewelacyjnych decyzjach mających przyspieszyć realizację Zielonego Ładu. W 2040 r. kraje Unii Europejskiej mają osiągnąć 90 proc. bezemisyjności netto. Te decyzje nie budzą entuzjazmu, przeciwnie – wywołują głęboki popłoch, niczym średniowieczne proroctwa o morowym powietrzu. A chodzi właśnie o powietrze w 100 proc. wolne od gazów cieplarnianych, aby uratować klimat Ziemi przed globalnym ociepleniem.

Fatalne Porozumienie paryskie

Tak argumentowano w 2015 roku w Porozumieniu paryskim, w którym aż kipiało od entuzjazmu dla walki o świat bez emisji gazów cieplarnianych. Przypomnijmy: Porozumienie paryskie (Paris Agreement) zakończyło 21. Konferencję ONZ w sprawie zmian klimatu w 2015 roku. Zobowiązało wszystkie kraje członkowskie ONZ do przyjęcia długoterminowych scenariuszy ograniczenia emisji gazów zgodnie z metodologią przyjętą przez ONZ. Państwa Unii postanowiły, że UE podejmie działania, dzięki którym do 2050 roku będzie mogła jako pierwsza na świecie stać się społeczeństwem neutralnym klimatycznie, sprawiedliwym i dostatnim. Z gospodarką nowoczesną, zasobooszczędną i przyjazną środowisku.

Porozumienie weszło w życie 4 listopada 2016 roku. Większość krajów, które podpisały dokument, tylko teoretycznie o nim pamięta – zwykle na dorocznych szczytach ONZ poświęconych walce z ociepleniem. Wyjątkiem są kraje UE.

W wystąpieniu na posiedzeniu plenarnym COP28 w listopa-

Fot. Adobe Stock

eprasa.pl 739e5c70ee

dzie 2023 roku przewodniczący Charles Michel wezwał jak zwykle do wzmożonych i szybkich globalnych działań, aby utrzymać wzrost temperatury na świecie na poziomie 1,5°C. Wzmożone i szybkie działania realnie podejmuje jedynie Unia Europejska. W 2023 roku emisja w UE spadła do 7,2 proc., w Chinach wzrosła o ponad 8.

To, co mamy dziś, to prosta konsekwencja Porozumienia paryskiego, czyli Europejski Zielony Ład. W większości UE trwa właśnie fala masowych protestów rolniczych – społeczny powszechny bunt. Tymczasem Komisja Europejska w zaciszu gabinetów przygotowuje kolejne przepisy i cały biurokratyczny aparat, aby do 2040 roku przyspieszyć realizację Zielonego Ładu w Europie – jak już wspomnieliśmy do 90 proc. dekarbonizacji. Przewodnicząca Ursula von der Leyen i inni politycy z Brukseli są w pełni przekonani, że powszechny bunt uda się skutecznie wyciszyć pod hasłem polityki klimatycznej ONZ. Chyba nie dostrzegają, że zainteresowani skutecznym buntem są nie tylko rolnicy. Przeciętni Europejczycy wreszcie wiedzą, że Zielony Ład to ściema wmuszona im w 2015 roku przez Porozumienie paryskie.

Utrata połowy dochodu narodowego

Europejski Zielony Ład przyniesie wiele kosztów i wiele rozczarowań – przewidują coraz liczniejsi eksperci. W ogromnym skrócie – miało być w UE pod dostatkiem taniej energii elektrycznej z OZE. W praktyce okazuje się, że dla wielu krajów członkowskich, w tym dla Polski, OZE to pewna utrata nawet połowy dochodu narodowego, licząc na głowę mieszkańca – ocenia w wywiadzie dla portalu WNP.pl Herbert Leopold Gabryś, były wiceminister przemysłu odpowiedzialny za energetykę. Jeśli zostanie zrealizowany Zielony Ład, to – na miarę skali i terminów wyzwań przebudowy społeczeństw Europy – będzie to bardzo kosztowna realizacja katastrofy gospodarczej. Prof. Władysław Mielczarski, ekspert energetyki, wskazuje, że dotkliwie zbiedniejemy przez Europejski Zielony Ład, a Polacy stracą nawet połowę swoich dochodów.

Skrajnie biurokratyczna ingerencja w życie obywateli

Społeczeństwa Europy z coraz większym przerażeniem zauważają, że gwałtownie rośnie biurokratyczna ingerencja w nasze codzienne życie, która wnosi rygorystyczne decyzje do wykonania albo na już, albo na niebawem. Oto ogrzewanie – z gazowymi restrykcjami, wysokimi normami emisyjnymi dla samochodów (ze strefami zakazu wjazdu w obszarach miejskich), normy i świadectwa energetyczne dla nowych obiektów mieszkalnych, a trochę później tych starych. Zasadnicza zmiana nawyków żywieniowych. Niektórzy przewidują pesymistycznie, że znaczna część europejskiej ludności po latach tej polityki będzie mieszkać w szałasach. Tam bowiem nie trzeba będzie kupować bardzo drogiej energii – będzie można żyć na przykład bez pompy ciepła i bez certyfikatu energetycznego.

CHINY I INDIE ZWIĘKSZAJĄ SWOJĄ GENERACJĘ ELEKTROENERGII – TAKŻE ZNACZĄCYMI PRZYROSTAMI WYDOBYCIA I IMPORTU WĘGLA.

A w Polsce...

Jakie będą skutki wprowadzania w Polsce rozwiązań wynikających z Europejskiego Zielonego Ładu? Konsekwentne wdrażanie przyjętych zobowiązań obejmie kosztami polityki klimatycznej kolejne obszary działalności gospodarczej: energetykę, przemysł, transport, rolnictwo i budownictwo, rujnowane przez rosnące koszty działań koniecznych dla pozbywania się emisji. Najnowszy sektor to budownictwo i mieszkalnictwo, gdzie wprowadza się podwyższanie norm energetycznych zarówno dla nowych budynków, jak i tych starych, choć o kilka lat później. Będą rosły koszty uprawnień do emisji CO_2. Niektórzy oceniają, że w 2026 roku będziemy płacić około 120 euro za prawo do emisji, a w 2030 co najmniej 150 euro. To wszystko pod przykrywką, że dla nas Zielony Ład jest cenną szansą na przejście na gospodarkę niskoemisyjną i odejście od gospodarki pochłaniającej nieodnawialne zasoby naturalne. Jeśli jednak dziś z konsekwencji jego wprowadzania postrzegamy, że dotyka nie tylko szeroko rozumianej energetyki, ale także budownictwa, przemysłu, transportu i gospodarstw domowych, to aż strach pomyśleć, dokąd zmierza dyktat UE. Wprawdzie utworzono specjalny Mechanizm Sprawiedliwej Transformacji na trzech filarach – pierwszy filar zapewni finansowanie przede wszystkim w formie dotacji, natomiast filary drugi i trzeci będą

realizowane poprzez InvestEU i instrument pożyczkowy Europejskiego Banku Inwestycyjnego.

Polska miała liczyć na wsparcie Funduszu Sprawiedliwej Transformacji (FST) do kwoty 3,5 mld euro. Połowa środków miała być dostępna dla Polski od początku funkcjonowania FST. Dziś trzeba ocenić, że procedury przyznawania są obwarowane nadmiernymi warunkami. Ich spełnienie jest bardzo różne dla krajów Wspólnoty – niestety także na granicy uznaniowości politycznej. Aby spuentować Zielony Ład w 2024 r.: przyniesie wiele kosztów i wiele rozczarowań. I naprawdę UE czeka wielki bunt społeczny.

Jak Europejski Zielony Ład wpływa i będzie wpływał na ceny naszej energii

Ceny na rynku detalicznym dla odbiorców końcowych z umów kompleksowych (zakup energii łącznie z usługą dystrybucyjną) ogółem zwiększyły się o 10,7 proc. do kwoty 893,5 zł/MWh. Różnie dla różnych grup odbiorców. Na wysokim napięciu to 951,3 zł/MWh wobec 775,3 zł/MWh w 2022 roku, odpowiednio na średnim napięciu 929,6 zł/MWh wobec 757,7 zł/MWh, natomiast na niskim napięciu 1278,8 zł/MWh wobec 1188,0 zł/MWh. Gospodarstwa domowe płaciły ogółem za 2023 rok 784,0 zł/MWh, a w 2022 roku 728,3 zł/MWh. Zwiększyły się znacząco opłaty dystrybucyjne – o 60,2 zł/MWh, to jest o 22,4 proc. W sumie elektroenergetyka w Polsce za 2023 rok poniosła koszty za uprawnienia do emisji w wysokości 40 544 mln zł.

USA zdecydowanie zmierzają w innym kierunku

Wiadomo, że Chiny i Indie w gruncie rzeczy nie realizują Porozumienia paryskiego, odkładając to na dalszą przyszłość. Państwa te zwiększają swoją generację elektroenergii – także znaczącymi przyrostami wydobycia i importu węgla. Ich rozwój gospodarczy odbywa się właśnie dzięki niemu.

wykorzystywania elektrowni węglowych jako sprawdzonego źródła energii. Świadoma posiadanych zasobów czarnego złota Rocky Mountain Power planuje spalanie węgla do końca 2042 r., choć przed dwoma laty ogłosiła, że chciałaby wycofać elektrownie węglowe w stanie Utah do 2032 r. Jednak w zeszłym tygodniu największy producent energii w stanie ogłosił, że będzie spalał węgiel przez kolejną dekadę.

OSTATNIO WŁADZE STANU UTAH OPOWIEDZIAŁY SIĘ ZA TANIĄ I PEWNĄ ENERGETYKĄ WĘGLOWĄ DO 2042 R., CZYLI DO WYCZERPANIA POSIADANYCH ZŁÓŻ.

Ostatnio władze stanu Utah opowiedziały się za tanią i pewną energetyką węglową do 2042 r., czyli do wyczerpania posiadanych złóż. Co będzie dalej – zobaczymy. Parlament stanu Utah przyjął ustawę House Bill 224, która nakłada na amerykańską spółkę energetyczną Rocky Mountain Power obowiązek dalszego

PacifiCorp, spółka matka Rocky Mountain Power, zaktualizowała w zeszłym tygodniu swój zintegrowany plan zasobów, informując, że obecnie pracuje nad tym, aby elektrownie węglowe w Huntington i Hunter działały do wyczerpania zasobów. Za tym zwrotem stoją zmiany w zakresie federalnych przepisów, a pozew sądowy doprowadził do zawieszenia przez sąd prawa ograniczającego wolumeny węgla, który stan może spalać.

David Eskelsen, rzecznik Rocky Mountain Power, powiedział, że te zmiany wynikające z obowiązujących przepisów są rynkowo konieczne, ponieważ firma stara się zapewniać konsumentom na całym zachodzie Ameryki niezawodną energię po korzystnie niskiej cenie. – To część naszego stałego procesu, w ramach którego staramy się wykazywać wystarczającą elastyczność rynkową i niezawodnie spełniać potrzeby klientów – powiedział.

Oczywiście były protesty. Logan Mitchell, klimatolog i analityk energii w organizacji pozarządowej Utah Clean Energy, nazwał zwrot akcji PacifiCorp w sprawie zamykania elektrowni węglowych w Utah „drastycznym krokiem wstecz". Jednak w sondażach ogromna większość obywateli oceniła, że odczuła ulgę z powodu tego, że PacifiCorp przedłużyła żywotność elektrowni węglowych. – Jedną z kluczowych rzeczy, z których musimy zdać sobie sprawę, jest to, że węgiel jest paliwem, które utrzymuje Utah i zachodnie Stany Zjednoczone. I tak będzie, dopóki będzie węgiel.

eprasa.pl 739e5c70ee

Magdalena Okraska

W świecie szkodliwych prezentów

Nasze ukształtowane przez minione trzydzieści lat widzenie ekonomii i gospodarki wytworzyło kilka mitów, które wydajemy się niemal wszyscy jako społeczeństwo podzielać. Pierwszy z nich to założenie, że budżet państwa jest jak budżet domowy: jeśli pieniądze wyda się na coś i ich zabraknie, to ich „nie ma". Kolejny, także szkodliwy, to uznawanie, że środki przeznaczane na poprawę losu konkretnych grup społecznych (rodziców, pracowników, seniorów) to „prezenty", które są „dawane". Za prezenty te należy być bardzo wdzięcznym – a inne grupy dostają automatycznie prawo do krytykowania, że ktoś je otrzymuje.

Zastrzeżenia te przestają jednak obowiązywać, gdy mowa o przedsiębiorcach. Ich krzywda ze strony państwa jest nagle realna, a jeśli coś dostają, to z pewnością się należy. W takim też tonie przebiega dyskusja o projekcie obniżenia im składki zdrowotnej poniżej poziomu płaconego przez pracowników etatowych, którzy zarabiają od nich znacznie mniej.

Ta propozycja to szkodliwy społecznie i niezbyt sprawiedliwy pomysł. Abstrahując już od samych „obdarowywanych" (bo jeśli ulgi i zwolnienia to „prezenty", to i w tym przypadku musimy być posłuszni tej retoryce i tak je traktować), niższa składka zdrowotna to przede wszystkim niższe nakłady na nasze wspólne zdrowie. Tak, te nakłady, o których podwyższeniu trąbili politycy od prawa do lewa. Polska wydaje na publiczną ochronę zdrowia tylko około 5% PKB. To jeden z najniższych wyników w Europie, a unijna średnia mocno przekracza 7%. I co? I nic: gdy pojawia się pomysł postulatu „ulżenia przedsiębiorcom", nagle wszyscy zakładamy klapki na oczy. A przecież nie każda składka jest dobra, jeśli jest niska, i nie każdy podatek jest dobry, jeśli jest niski. To z tego, co państwo „zabiera", budujemy wspólną przyszłość i podstawową ochronę.

Na proponowanej zmianie etatowcy nie skorzystają wcale, a nawet pośrednio stracą: wydatki na ochronę zdrowia spadną, a niższe nakłady bardziej obciążą budżet – bo nie będzie nas przecież magicznie mniej, nie zaczniemy mniej chorować, a procedury medyczne nie stanieją. Etatowcy to większość podatników. W tym momencie rozmowy pojawia się zazwyczaj argument o ogromnych rzekomo pozytywach, jakie dla państwa niesie istnienie jak największej liczby JDG [jednoosobowa działalność gospodarcza]. To mit z dokładnie tego samego wora mitów ekonomicznych, o których wspomniałam na początku. Polska jest w peletonie tzw. fałszywego samozatrudnienia, które stanowi patologię rynku pracy, a nie proceder, do którego prowadzenia warto zachęcać. W wyniku zmiany składki pracownicy etatowi zapłacą 329 zł miesięcznie, znacznie lepiej sytuowany przedsiębiorca zaś... jedynie 286 zł. Niedostrzeganie w tym dysproporcji, a już zwłaszcza pompowanie JDG jako „lepszych", bardziej rzutkich, soli ziemi, to oznaka ulegania szkodliwym wzorcom myślenia, zgodnie z którymi dobre jest jedynie to, co indywidualnie korzystne i co się komuś „opłaca".

A obniżka składki zdrowotnej dla przedsiębiorców nie opłaca się nikomu – na dłuższą metę nawet im.

eprasa.pl 739e5c70ee

Na naszych oczach
BANKRUTUJE III RP

Trudno było sobie wyobrazić bardziej spektakularne bankructwo systemu politycznego III RP. **Zawiedziony demokracją** sojusz liberałów i postkomunistów próbuje ograniczać wolność połowy społeczeństwa. No i przegrywa.

Mariusz Staniszewski

To, co robi rząd Donalda Tuska, nie jest tylko wojną z Prawem i Sprawiedliwością, Jarosławem Kaczyńskim, Mateuszem Morawieckim czy Andrzejem Dudą. Jego celem są ludzie, którzy ośmielili się na nich zagłosować i powierzyć im rządy w kraju. Takie foux pas nie miało prawa się wydarzyć w Polsce urządzonej przez Adama Michnika, Bronisława Geremka, Jerzego Urbana, Lecha Wałęsę, Wojciecha Jaruzelskiego i Czesława Kiszczaka. Po 1990 roku zacofana część społeczeństwa, której bliska jest narodowa tradycja, chrześcijaństwo oraz dziedzictwo poprzednich pokoleń, miała zostać poddana zbiorowej terapii i przejść proces oświeceniowej reedukacji lub zamilknąć. Hydra jednak nie tylko podniosła głowę, ale sięgnęła po władzę i przestała uznawać samozwańcze przywództwo uwolnionych od polskiego garbu elit. Dla elit III RP taka sytuacja to zaprzeczenie demokracji – takiej, jaką oni rozumieją.

Kłamstwo i pogarda

Jednym z fundamentów systemu III Rzeczpospolitej było funkcjonowanie w dwóch rzeczywistościach. Oficjalno-medialnej, w której panowała polityczna konkurencja, toczyły się spory o kierunki rozwoju gospodarczego czy kształt zbiorowej pamięci, a nawet metod rozliczenia komunistycznych zbrodniarzy. W rzeczywistości panował konsensus, który gwarantował nietykalność nie tylko winnym zabójstw czy tortur z czasów PRL, ale także łapówkarzom sprzedającym za bezcen polskie przedsiębiorstwa w okresie transformacji. Wszyscy, którzy kwestionowali ten porządek, byli wypychani na margines życia politycznego, społecznego i medialnego.

> ZACOFANA CZĘŚĆ SPOŁECZEŃSTWA, KTÓREJ BLISKA JEST NARODOWA TRADYCJA, CHRZEŚCIJAŃSTWO ORAZ DZIEDZICTWO POPRZEDNICH POKOLEŃ, MIAŁA ZOSTAĆ PODDANA ZBIOROWEJ TERAPII I PRZEJŚĆ PROCES OŚWIECENIOWEJ REEDUKACJI LUB ZAMILKNĄĆ.

Efektem działania systemu był rzeczywisty brak konkurencji. Nawet jeśli zmieniały się twarze w rządzie, to kierunek polityki pozostawał

eprasa.pl 739e5c70ee

ten sam. Obywatele nie wybierali więc programów gospodarczych i społecznych, wizji rozwoju, planów inwestycyjnych – ich aktywność polityczna miała się raczej kończyć na głosowaniu na lepiej lub gorzej ogolone twarze, modniej albo słabiej skrojone garnitury. Symbolicznie mogli wybierać między tożsamością komunistyczną lub styropianową, ale na tym koniec. Gra pozorów zastępowała prawdziwą demokrację. Realnym suwerenem nie miał być naród, ale wąska elita, która dopuszczała do swoich kręgów tylko akceptujących reguły gry.

Jednym z głównych celów tej fasadowej demokracji było zapobieżenie przejęciu władzy przez ugrupowania, które kwestionowały jedynie słuszną linię rozwoju. Przede wszystkim jednak realizowałyby wolę narodu, czyli nieprzygotowanego do wolności, katolickiego, zacofanego motłochu.

Dla oświeconych elit było oczywiste, że nie wolno dać zbyt dużej swobody tej zaściankowej masie, dlatego wmawiano jej antysemityzm, ksenofobię, homofobię, alkoholizm, bicie kobiet, dzieci i wszystkie możliwe społeczne patologie. Takich ludzi można było tylko trzymać za twarz i politycznie uświadamiać, by w odległej przyszłości mieli szansę stać się obywatelami.

Nienawiść i odraza

Gdy w 2005 roku Lech Kaczyński pokonał Donalda Tuska w wyborach prezydenckich, a PiS wygrało z PO w parlamentarnych, stało się jasne, że walkę trzeba zaostrzyć, a przede wszystkim za żadne skarby nie wolno się z nim układać. Choć dla większości wyborców PiS i PO powyborcza koalicja tych formacji była oczywistością, to jednak stało się inaczej. To wtedy zaczęło się tworzenie wokół ugrupowania Jarosława Kaczyńskiego kordonu sanitarnego. Gdy burzliwa koalicja z Samoobroną i Ligą Polskich Rodzin skończyła się przyspieszonymi wyborami i oddaniem władzy, elity uznały te dwa lata przerwy w swoich rządach za epizod, który nie ma prawa się powtórzyć.

Wtedy jednak stało się jasne, że demokracja – nawet koncesjonowana – potrafi być nieobliczalna. Dlatego „przemysł pogardy" zamiast zelżeć po odzyskaniu władzy, rozpętał się na dobre. Celem nie było tylko wyśmianie osób o konserwatywnych poglądach oraz ich przedstawicieli, chodziło raczej o ich zastraszenie i odczłowieczenie. Odebranie prawa do zabierania głosu w debacie publicznej, wyrażania myśli.

To właśnie wtedy na scenie politycznej pojawił się Janusz Palikot, Adam Michnik bratał się Wojciechem Jaruzelskim, a Jerzy Urban jako „Goebbels stanu wojennego" na powrót stał się cenionym publicystą o ciętym piórze. Efekt został osiągnięty – osoby o poglądach konserwatywnych, a później także krytykujące sposób prowadzenia śledztwa w sprawie katastrofy smoleńskiej stały się najbardziej znienawidzoną grupą wśród wyborców liberalnych i lewicowych.

Wolność wyboru, nawet jeśli formalnie pozostała, miała być ograniczona, a dokładniej pozbawiona zdrowego rozsądku – jaki sens miało oddawanie głosu na formację, która i tak znajdzie się w izolacji. W rzeczywistości oznaczało to odebranie połowie Polaków prawa do decydowania o własnym losie. Tylko lepsza, bardziej europejska, otwarta, postępowa i uśmiechnięta część społeczeństwa zasługiwała na prawo wyborcze. Pozostałych należało zamknąć w swoistym

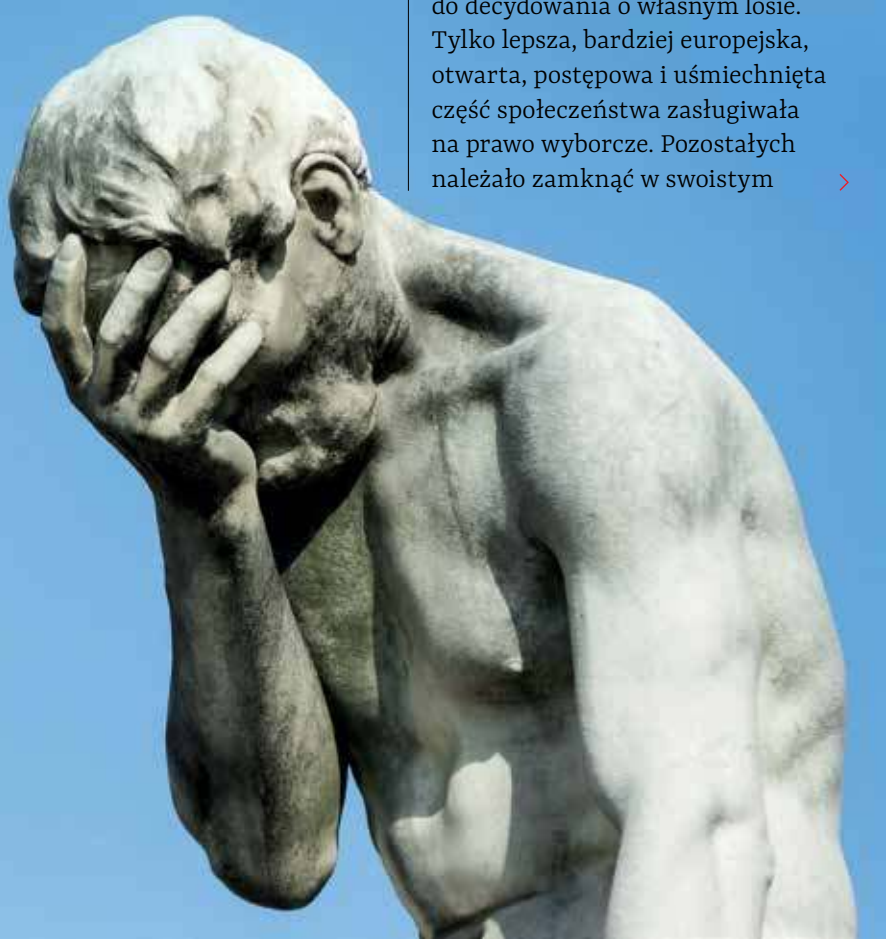

Fot. Adobe Stock

eprasa.pl 739e5c70ee

rezerwacie – mogli pracować, uczyć się i żyć, ale tylko jako poddani bardziej świadomych obywateli.

Podwójny błąd demokracji

Okazało się jednak, że miękkie metody się nie sprawdziły. Partia reprezentująca motłoch – przy okazji każdych wyborów liberalne media podkreślają, że na PiS głosuje prowincja, rolnicy i ludzie gorzej wykształceni, pomijają, że są to także osoby bardziej przywiązane do polskości, wierzące, o silniejszych uczuciach patriotycznych – ponownie sięgnęła po władzę. I to samodzielnie.

Nie spowodowało to refleksji, że wolność wyboru oznacza także akceptowanie niekorzystnych wyników głosowania. Wręcz przeciwnie. Od pierwszych dni rządów prawicy rozpoczął się proces jej delegitymizacji na każdym polu. Wybrane w demokratycznym głosowaniu władze były traktowane jak najeźdźcy, którzy odbierają jedynym prawowitym spadkobiercom należne im przywileje, stanowiska, zaszczyty i splendor.

Na salony wpuszczono barbarzyńców. Nie było istotne, że lepiej wykształconych i przygotowanych do rządzenia od poprzedników, posiadających program polityczny oraz wizję rozwoju. Najważniejsze było to, że ludzie, którzy przejęli władzę, zaczęli reprezentować interesy „tłuszczy", którą liberalno-lewicowe elity tak bardzo pogardzały. Natychmiast nazwano ich populistami.

Pedagogika wstydu, której zadaniem było przekonanie Polaków, że muszą się zmienić, by dorównać cywilizowanym narodom Europy, nagle przestała być obowiązującą w państwie doktryną. Okazało się, że jesteśmy nie tylko wyjątkowo pracowici i zaradni, ale też nasza historia jest bardziej powodem do dumy niż zapomnienia. A jeśli pojawiają się na niej plamy wstydu, zaprzaństwa i zbrodni, to ich sprawcami byli raczej przodkowie postępowych elit.

Nihilizm kontra wolność

Tym razem odzyskanej władzy przedstawiciele lepszej części społeczeństwa nie zamierzają oddać. Nie chcą popełnić tego samego błędu co poprzednio, gdyby byli zbyt pobłażliwi dla motłochu i jego przedstawicieli. Ani myślą oglądać się na demokrację, państwo prawa, prawny formalizm, ład czy znaczenie instytucji. Demokracja zawiodła, więc trzeba sięgnąć po siłę. Prawem staje się wola przywódcy, dla którego przepisy nie mogą być ograniczeniem czy przeszkodą. On po prostu musi zrealizować swój plan anihilacji przeciwnika. W imię wyższych racji, przywracania praworządności czy naprawy relacji z Unią Europejską ekipa ogłaszająca się demokratami podeptała wszystkie fundamenty wolności. Od swobody wypowiedzi po nienaruszalność poselskiego immunitetu.

Nie chodziło o tę czy inną interpretację prawa, ale o ostentacyjne demonstrowanie pogardy dla dotychczasowych zasad. Nawet jeśli posłowie Mariusz Kamiński i Maciej Wąsik powinni znaleźć się w więzieniu, to w państwie prawa ich umieszczenie za kratkami mogłoby się odbyć dopiero w chwili, gdy usunięte zostałyby wszelkie wątpliwości prawne. Tylko w ten sposób można uchronić się przed samowolą władzy, która zechce pozbyć się przeciwników politycznych, zamykając ich w więzieniach.

Rząd Donalda Tuska postąpił dokładnie odwrotnie – uwięzienie dwóch posłów PiS miało być spektaklem, który udowodni, że tym razem władza się nie cofnie. Aby wszak mogła wrócić demokracja w wersji fasadowej, konieczne jest użycie środków nadzwyczajnych. Praworządność zapanuje dopiero wtedy, gdy ostatecznie lewicowo-liberalne elity rozprawią się z wrogiem, a ci, którzy go popierają, uznają przywódczą rolę oświeconych sił. Wystarczy jeśli zrobią to ze strachu lub za pieniądze. Najważniejsze, by już nigdy demokracja nie płatała figli i nie otworzyła drogi do władzy reprezentantom ciemnoty. Aby to osiągnąć, rząd musi się ostatecznie wyrzec wartości, gdyż te są ciągle domeną świata, z którym walczą. Może postawić jedynie na nihilizm, kłamstwo i oszustwo, gdyż tylko one umożliwiają zniewolenie ludzi myślących inaczej.

Ostatnie wybory pokazały jednak, że demokracja ciągle nie chodzi na pasku elit. Wściekłość premiera Tuska nie wynika z tego, że nie będzie rządził w tylu sejmikach, w ilu pragnął. Problemem jest to, że nie udało mu się zmiażdżyć PiS-u, a obywatele wcale się go nie boją.

LUDZIE, KTÓRZY PRZEJĘLI WŁADZĘ, ZACZĘLI REPREZENTOWAĆ INTERESY „TŁUSZCZY", KTÓRĄ LIBERALNO-LEWICOWE ELITY TAK BARDZO POGARDZAŁY. NATYCHMIAST NAZWANO ICH POPULISTAMI.

eprasa.pl 739e5c70ee

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Karol Gac

Wyborcza magia

Bodaj ulubionym powiedzeniem prawników jest: „To zależy". Właściwie nie da się od nich uzyskać prostej i jasnej odpowiedzi, bo to zależy... Często z tego zwrotu korzystają również publicyści. Ba, w codziennym życiu na ogół też przecież „zależy". Jednak w przypadku analizy wyników wyborów samorządowych, to rzeczywiście „zależy".

Teoretycznie wszystko jest oczywiste, bo Państwowa Komisja Wyborcza – w rekordowym dla niej czasie – ogłosiła już oficjalne wyniki. Zgodnie z nimi pierwsze miejsce w skali kraju zajęło PiS, które zdobyło 34,27 proc. głosów. Tyle tylko, że im dalej w las, tym więcej drzew, a co za tym idzie i „ale". Owszem, formacja Jarosława Kaczyńskiego ma niewątpliwie powody do zadowolenia, ale ten optymizm nie powinien przerodzić się w tryumfalizm.

Jeszcze kilka-kilkanaście tygodni temu PiS znajdowało się w głębokiej defensywie. Obóz Jarosława Kaczyńskiego buzował od wewnętrznych napięć, a i kolejne posunięcia rządu sprawiały, że nad Prawem i Sprawiedliwością zbierały się coraz ciemniejsze chmury, o czym kilkukrotnie pisałem na łamach „TS". To sprawiało, że w PiS nastroje były, delikatnie rzecz ujmując, mało optymistyczne, co dodatkowo było potęgowane przez różne sondaże. Słowem, PiS spodziewało się w wyborach samorządowych sromotnej klęski.

Tymczasem formacja Jarosława Kaczyńskiego nie tylko zajęła kolejny raz pierwsze miejsce, czym zagrała Donaldowi Tuskowi na nosie, ale i nieznacznie zwiększyła poparcie procentowe wobec wyborów do sejmików z 2018 roku, gdy była niewątpliwie na fali. I to jest bez wątpienia sukces PiS. Co ważne, obaliło to także tezę, że wysokie poparcie dla PiS wynika głównie z wpływu TVP, wsparcia spółek skarbu państwa czy wykorzystywania państwowych instytucji. Biorąc to – ale także inne czynniki – pod uwagę, PiS ma powody do optymizmu.

Tyle tylko że równolegle jest tu zarazem kilka łyżek dziegciu. PiS wygrało co prawda w siedmiu sejmikach, ale KO w dziewięciu. Poza tym zwycięstwo w poszczególnych regionach nie oznacza automatycznie utrzymania czy przejęcia tam władzy. Wręcz przeciwnie. PiS będzie rządziło prawdopodobnie w pięciu województwach, choć niezwykle ciekawa sytuacja jest na Podlasiu. Jednak – dla porównania – w poprzedniej kadencji PiS samodzielnie rządziło w sześciu województwach, a momentami nawet w ośmiu. Do tego wszystkiego warto również wspomnieć o słabych wynikach w miastach. Jak widać, wszystko „zależy".

Oczywiście to tylko zasygnalizowanie pewnych wątków, ale faktem jest, że Jarosław Kaczyński ma nad czym myśleć. Zwłaszcza że lada moment czekają nas wybory do Parlamentu Europejskiego. Najgorsze, co mogłaby teraz zrobić Nowogrodzka, to uznać, że najtrudniejsze chwile za nią, bo właściwie nic złego się nie wydarzyło, a także, że wystarczy czekać na potknięcia i spory w rządzącej koalicji. Wewnętrzne problemy nie zostały bowiem rozwiązane, a jedynie – chwilowo – przykryte.

Autor jest dziennikarzem portalu DoRzeczy.pl.

eprasa.pl 739e5c70ee

Co nam mówią te wybory?

Strategia lewicy, by uczynić z kwestii aborcji **paliwo wyborcze**, która zarazem wzmocni formację Włodzimierza Czarzastego i osłabi koalicyjną Trzecią Drogę, skończyła się widowiskową klęską.

Marek Nowak

Anna Maria Żukowska, przewodnicząca KKP Lewicy, na 7. posiedzeniu Sejmu X kadencji; Warszawa, 6 marca br.

Fot. Zbyszek Kaczmarek / Forum

Porażka ta pokazuje, że wyborcy w Polsce nie są naiwni i od polityków nie oczekują kwiecistych słów czy widowiskowych deklaracji. W polityce chodzi o reprezentację własnego elektoratu. Kto nie jest w stanie nic dla niego zrobić, ten prędzej czy później go straci.

Aborcją w Hołownię

Decyzja Szymona Hołowni, by odłożyć w czasie procedowanie projektów dotyczących aborcji na okres po wyborach samorządowych, wywołała ogromną burzę w mediach liberalnych. – Hołownia robi wszystko przeciwko swoim własnym wyborcom, swoim własnym kolegom z klubu, a na pewno koleżankom, dlatego że zdecydowana większość polityczek Trzeciej Drogi jest za projektem KO. Marszałek Hołownia robi absolutnie polityczną głupotę, nie jest w tym konsekwentny i nie jest w tym mądry – mówiła 7 marca na antenie radia TOK FM dziennikarka „Newsweeka" Dominika Długosz. Zdaniem komentatorki marszałek Sejmu, upierając się przy swojej decyzji, popełnia „polityczny błąd". W połowie marca podobną opinię wyraził w wywiadzie dla tygodnika „Wprost" politolog prof. Rafał Chwedoruk. Zdaniem eksperta, o ile w perspektywie krótkoterminowej politycy PSL i Polski 2050 mogą liczyć na przepływy części elektoratu z PiS-u, o tyle „w perspektywie krótkoterminowej Trzeciej Drodze nie opłaca się stawiać oporu przed liberalizacją prawa aborcyjnego. I zapewne już w wyborach samorządowych, zwłaszcza na poziomie sejmików, zapłaci za to". Podobnych głosów w różnych mediach było zdecydowanie więcej. Narracja mówiąca o tym, że na swoim stosunku do aborcji Trzecia Droga zapłaci cenę wyborczą, i to już przy najbliższych wyborach, zdawała się tak silna, że uwierzyła w nią parlamentarna lewica, która postanowiła wykorzystać tę okazję do ataku na swojego koalicjanta. W kierunku marszałka padły ostre słowa ze strony wielu polityków i sympatyków lewicy. Najostrzejsza była w tym przewodnicząca klubu lewicy Anna Maria Żukowska. Posłanka określiła Szymona Hołownię m.in. mianem „dziadersa", „tchórza" czy „mordercy kobiet". Padło też wulgarne określenie, które można interpretować tak, że posłanka lewicy życzy sobie, by marszałek Sejmu... oddalił się w pośpiechu. Podobne (choć wyrażone innym językiem) przesłanie wygłosił współprzewodniczący lewicy Robert Biedroń. – 7 kwietnia będą wybory i myślę, że to jest dobry moment, żebyśmy wszystkim pokazali, co myślimy o polityce Trzeciej Drogi. Pokazali im czerwoną kartkę – powiedział europoseł 12 marca na antenie radia RMF FM. Politycy lewicy zdawali się wierzyć, że na tym sporze nie tylko pognębią nieco swojego koalicjanta, ale także (a może przede wszystkim) zbudują się politycznie. Powyborcza rzeczywistość boleśnie zweryfikowała te plany.

eprasa.pl 739e5c70ee

Mijanka

Na pierwszy rzut oka ogólny krajobraz powyborczy pokazuje zamrożenie preferencji wyborczych. Zarówno w porównaniu do wyborów parlamentarnych, jak i poprzednich – do sejmików przesunięcia nie są bardzo znaczące. Notowania PiS dalej trzymają się mocno i pomimo utraty władzy, sporów wewnętrznych czy utraty wpływów w mediach publicznych partia ta odniosła dziewiąte z rzędu zwycięstwo i ciągle jest najpopularniejszą partią w Polsce – choć kwestia, w ilu z sejmików wojewódzkich zdoła zbudować większość, pozostaje otwarta.

Druga w kolejności KO, choć poprawiła znacznie swój wynik z poprzednich wyborów samorządowych (wtedy 26,97%, teraz 30,5%), to wbrew zapowiedziom i licznym przedwyborczym sondażom nie udało się prześcignąć formacji Jarosława Kaczyńskiego. Choć premier Donald Tusk ogłasza wielki sukces, trudno widzieć tu cokolwiek więcej ponad propagandową pozę.

Na dalszych miejscach jest jeszcze ciekawiej. Trzecia Droga wbrew prognozom (a może i nadziejom) części polityków i ekspertów zdobyła bardzo mocną trzecią pozycję z niezłym wynikiem 14,2%. Jest to rezultat słabszy od ubiegłorocznych wyborów parlamentarnych (14,40%), ale lepszy od wyniku PSL z ostatnich wyborów samorządowych (12,07%). Dla nowej struktury politycznej, którą wciąż jest Trzecia Droga, to ciągle dobry prognostyk stabilnego rozwoju.

Zupełnie inaczej interpretować należy wynik lewicy. 6,3% to wynik bardzo zbliżony do tego, który w poprzednich wyborach samorządowych uzyskał… SLD (6,62%). Razem, które wtedy startowało osobno, uzyskało wynik 1,57%. Ówczesne wyniki lewicy uznano za kompletną katastrofę i sygnał ostrzegawczy od wyborców. To m.in. w jego rezultacie skłócone na lewicy partie zaczęły ze sobą rozmawiać i rok później wystartowały do Sejmu pod jednym szyldem. Dziś sytuacja na lewicy jest w mojej ocenie gorsza niż wtedy także jeszcze z jednego powodu. Lewica straciła czwarte miejsce na podium i dała się wyprzedzić Konfederacji. Powyborcza „mijanka", która miała się odbyć między PO a PiS, faktycznie się odbyła – tyle że między Lewicą a Konfederacją.

Co poszło nie tak?

Można więc przypuszczać, że konflikt o aborcję, który Lewica podczas kampanii wypowiedziała Trzeciej Drodze, nie tylko pomógł formacji Szymona Hołowni i Władysława Kosiniaka-Kamysza (a przynajmniej nie zaszkodził), lecz także zaszkodził samej lewicy. Na pierwszy rzut oka jest to dość dziwne, biorąc pod uwagę, że według sondaży znakomita większość Polek i Polaków jest za liberalizacją obecnych przepisów (choć poziom tej liberalizacji pozostaje różny w różnych elektoratach). Jednak warto spojrzeć na tę sprawę nieco szerzej. Nierozerwalną częścią tego, co definiujemy jako „polityka", zawsze było słowo „obietnica". Każde społeczeństwo ma swoje aspiracje, marzenia i lęki. Polityka je definiuje i wyraża, a także wybiera z nich te, które będą reprezentowane, oraz te, które będą się ze sobą konfrontować. W tym sensie zawsze jest obietnicą reprezentacji składaną przez polityków grupom społecznym, których interesy, aspiracje, lęki czy preferowany świat wartości chcą oni reprezentować. Wyborcy Trzeciej Drogi (zwłaszcza tej PSL-owskiej części) są najbardziej konserwatywną częścią elektoratu, jaki się składa na wyborców nowej koalicji rządzącej. Nawet jeśli uważają oni w swojej większości aktualne przepisy aborcyjne za zbyt restrykcyjne, to w ich przypadku naturalny może być lęk przed zbyt dużym wychyleniem politycznego wahadła w drugą stronę. Postawa Hołowni, który wysyła sygnał, że sprawa powinna być poddana spokojnej refleksji, niekoniecznie jest „działaniem przeciw swoim wyborcom" (jak chce Dominika Długosz), ale właśnie potrzebą lepszego wyczucia emocji tego elektoratu. W tym sensie Hołownia i Kosiniak, reprezentując interesy (w tym przypadku aksjologiczne) swoich bardziej konserwatywnych wyborców, realizują ich przekonania i pokazują w tym polityczną skuteczność. Lewica z kolei nie realizuje tego, czego oczekują od niej jej progresywni wyborcy. Najpierw ich zawiodła, kiedy nie zażądała wpisania liberalizacji prawa aborcyjnego do umowy koalicyjnej pod groźbą niepowstania rządu (Skoro rzekomo ta sprawa jest dla lewicy tak ważna, to czemu tego nie zrobiła?). A teraz pod maską groźnego pohukiwania prezentuje własną polityczną bezradność. Wyborcy to widzą i nie może im się to podobać.

WYBORY SAMORZĄDOWE DOBITNIE PRZYPOMNIAŁY, ŻE W POLITYCE CHODZI O REPREZENTACJĘ WŁASNEGO ELEKTORATU. KTO NIE JEST W STANIE NIC DLA NIEGO ZROBIĆ, TEN PRĘDZEJ CZY PÓŹNIEJ GO STRACI.

eprasa.pl 739e5c70ee

Damian Soból:
„Nie ma problemów, są tylko rozwiązania!”

Dewiza polskiego wolontariusza zamordowanego przez izraelską armię podczas niesienia pomocy humanitarnej okazała się **niestety** mieć swoje ograniczenia. Kontynuację życiowej misji Damiana zapowiadają jego przyjaciele.

Agnieszka Żurek

Przyjaciele śp. Damiana Sobola zebrali się po jego śmierci w Zaułku Wolontariuszy obok dworca PKP w Przemyślu i zapalając świeczki, oddali mu hołd oraz modlili się za jego duszę.

„Co słychać, Słońce?”

„Chociażbym chodził ciemną doliną, zła się nie ulęknę, bo Ty jesteś ze

Śmierć wolontariuszy z Word Central Kitchen odbiła się szerokim echem na całym świecie. Na zdjęciu protestujący trzyma zdjęcie Damiana Sobola podczas protestu przed izraelskim konsulatem w Chicago, 5 kwietnia br.

Fot. AA/ABACA / Abaca Press / Forum

eprasa.pl 739e5c70ee

mną. Do Zobaczenia po Drugiej Stronie, Bohaterze" – napisała na Facebooku Elżbieta Dziukiewicz. „Byłeś słońcem w ponury dzień... Byłeś takim człowiekiem, jakiego nigdy już więcej na swojej drodze nie spotkam... Nawet kiedy w Twoim życiu działo się źle, Ty walczyłeś. Zawsze z uśmiechem na twarzy. Będzie OK, mówiłeś... Pamiętałeś o moich urodzinach – ZAWSZE. Mimo ciężkiej pracy, braku czasu, zawsze pytałeś: «Co słychać, Słońce?». Ciągle słyszę te słowa, jakbyś tutaj był... i na pewno jesteś. I spotkamy się za jakiś czas... Byłeś naprawdę najprawdziwszym, najlepszym człowiekiem, jakiego znałam. Nigdy o Tobie nie zapomnę. Przemyśl nie zapomni" – pożegnała polskiego wolontariusza jego przyjaciółka Agata Serwin.

W uroczystościach upamiętniających śp. Damiana Sobola wzięli udział jego znajomi z całego świata. „To było ogromne spotkanie. We mszy w intencji śp. Damiana Sobola, jednego z naszych najbardziej ukochanych pracowników World Central Kitchen, wzięły udział tłumy ludzi. Damian był tak oddany misji karmienia ludzi w potrzebie... Po wykarmieniu tysięcy ukraińskich uchodźców w Polsce pojechał dalej karmić ludzi w Turcji, Maroku i Gazie. Niech Twoja praca żyje przez nas, kiedy będziemy karmić potrzebujących. Nigdy nie zostaniesz zapomniany!" – napisał jeden z wolontariuszy WCK Lu Brigham.

Inna wolontariuszka, Marta C. Magnoni zwróciła się do śp. Damiana, jego rodziny i przyjaciół: „Jestem zdruzgotana wiadomością o jego śmierci, zresztą jak my wszyscy. Chyba nigdy nie spotkałam kogoś milszego, bardziej współczującego i wiernego danemu przez siebie słowu niż on. To był prawdziwy anioł. Nigdy nie zostanie zapomniany. Przesyłam swoją miłość i siłę jego znajomym i rodzinie". Egipska wolontariuszka Sarah Soliman podzieliła się ostatnią fotografią, którą zrobiła Damianowi, kiedy pracowali razem. Widać na niej radosnego, pełnego energii i zapału do pracy młodego chłopaka szeroko rozwierającego swoje ramiona w geście przytulenia. „Nie mogę przestać myśleć o tym zdjęciu Damiana, ostatnim, które mu zrobiłam. To taki typowy on. Wirtualnie przytulał drużynę, która dostarczyła palety z Cypru, ponieważ w czasie pandemii nie był dozwolony między nimi kontakt fizyczny. Oto właśnie Damian – daje swoją miłość i troskę wszystkim, których znał. Nigdy nie widziałam go smutnego, zawsze się śmiał i chodził po biurze, pomagając wszystkim. Pamiętam, że kiedy dołączyłam do WCK, zawsze mnie wspierał, uczył i chętnie pomagał, wypowiadał często swój słynny cytat: «Żadnych problemów, tylko rozwiązania». Wciąż słyszę jego śmiech, a jego wspierające słowa krążą echem wokół mnie. Nie mogę uwierzyć, że nie wrócisz już z Gazy, mimo że podczas naszej ostatniej rozmowy mówiłeś, że tak będzie. Jestem w szoku i w żałobie po Twojej stracie, Damian. Straciliśmy bohatera, ale zawsze będziesz z nami. Czuję Twoją obecność w całym biurze i wśród nas. Będziemy dalej robić to, czego chciałeś, Damian – karmić ludzi".

> ***Straciliśmy bohatera, ale zawsze będziesz z nami. Czuję Twoją obecność w całym biurze i wśród nas. Będziemy dalej robić to, czego chciałeś, Damian – karmić ludzi.***
>
> **egipska wolontariuszka SARAH SOLIMAN**

„Ktoś musi tym ludziom pomóc"

„Był to najlepszy wolontariusz i lider, jakiego spotkałem. Jeśli czasami niektórzy ludzie mówią, że ja jestem szybki, to Damian był dziesięć razy szybszy ode mnie. Poznaliśmy się na wojnie na Ukrainie na granicy, pracowaliśmy razem siedem miesięcy, potem nastąpiła krótka przerwa, a od lutego byliśmy razem w Turcji i pomagaliśmy tam po trzęsieniu ziemi. Damian był genialny, nigdy nie uciekał od problemów. Kiedy się pojawiały, drapał się chwilę po głowie, zastanawiał się, a już za chwilę wiedział, w jaki sposób daną kwestię rozwiązać" – wspominał przyjaciela w programie telewizji Idź Pod Prąd Mikołaj Rykowski, prezes fundacji Wolne Miejsce. „Nie odpoczywał, pracował jak robot, był niesamowity. Był bardzo odważny. Dlatego kiedy przyszła informacja o tym, że zginęło siedmiu naszych kolegów z World Central Kitchen, jeszcze przed podaniem nazwisk czułem, że wśród nich będzie niestety Damian. No bo kto, jak nie on? On zawsze jechał pierwszy, nigdy nie wysłałby najpierw swoich ludzi, samemu zostając w bezpieczniejszym miejscu. Był szefem WCK na całą Europę, byliśmy dumni, że nasz rodak jest dyrektorem tej organizacji na takiej wysokiej pozycji. Wiedzieliśmy, że on jest zawsze z przodu, on nie wysyła ludzi w najniebezpieczniejsze miejsca. No i w końcu przyszła informacja, że zginęło dwoje z naszych przyjaciół – Damian i Zomi – Zomi to była bardzo wysoko postawiona liderka WCK, ogromnie serdeczna, dbająca o ludzi, o ich odpoczynek, o ich warunki pracy. Ci ludzie

eprasa.pl 739e5c70ee

byli najlepsi, to byli «generałowie». Polegli zupełnie niepotrzebnie, bo wiemy, że te rakiety w żaden sposób nie powinny być celowane do samochodów, które wiozą pomoc humanitarną. Ktoś będzie gdzieś tam to wyjaśniał, ale to już nie odwróci tej sytuacji. Ich śmierć jest już niestety faktem. Całą tę sytuację można skwitować tylko w jeden sposób: teraz świat przynajmniej zauważył, że w tych wojnach nie giną tylko żołnierze, nie giną tylko wolontariusze – bo to już się działo wielokrotnie – ale giną z głodu cywile. Teraz Palestyna będzie głodować, bo cała pomoc humanitarna została obecnie zablokowana i nikt nie może wjechać do Strefy Gazy. Dzisiaj mówi się, że poprzez rozmowę z prezydentem Joe Bidenem premier Binjamin Netanjahu zgodził się otworzyć granicę. Zobaczymy, czy tak faktycznie się stanie. Ma jeden port przeznaczyć na pomoc. Być może będzie to przełom, jeżeli chodzi o pomoc dla głodujących ludzi. Może wtedy śmierć Damiana okaże się ofiarą, dzięki której wielu ludzi będzie mogło przeżyć – bo obecnie w Strefie Gazy umierają oni z głodu" – wyraził nadzieję Rykowski.

„Nie wiem, co powiedzieć! Chciałem przeprosić, podziękować... płakać! Chłopak pojechał pomagać, nakarmić ludzi umierających z głodu... przypłacił to życiem! Damianie, przepraszam!" – napisał na Facebooku dr Ahmed Yousef Elsaftawy, pochodzący ze Strefy Gazy mieszkaniec Wrocławia. We wpisie na Facebooku polskiego wolontariusza pożegnał prezydent Przemyśla Wojciech Bakun. „W ataku rakietowym sił izraelskich na konwój humanitarny dostarczający żywność na terenie Strefy Gazy zginął nasz kolega, przemyślanin, wolontariusz, członek ekipy World Central Kitchen – Damian Soból. Nie ma słów, żeby opisać to, co czują w tej chwili osoby, które znały tego fantastycznego chłopaka... Niech spoczywa w pokoju" – napisał.

Damian Soból urodził się w 1988 roku. Od najmłodszych lat był radosnym, dobrym i serdecznym chłopakiem. Pochodził z niezbyt zamożnej rodziny i choć nie miał wiele, chętnie dzielił się z innymi tym, co posiadał. – Wyróżniała go bezinteresowność i ogromna empatia wobec kolegów – wspomina w rozmowie z Onetem Henryk Łaskarzewski, który był pierwszym piłkarskim trenerem Damiana. Chłopak zaczął u niego treningi w lokalnej drużynie Czuwaj Przemyśl w wieku 11 lat. – Grał jako boczny obrońca. Już jako dziecko wprowadzał świetną atmosferę [...]. Zostawał po treningach, żeby pomóc przy ściąganiu siatek. Schodził ostatni, bo zawsze chciał pomóc – relacjonuje trener. Kiedy dorósł, wyjechał na pewien czas do pracy do Wielkiej Brytanii, gdzie nauczył się języka angielskiego, tak potrzebnego w późniejszej pracy wolontariusza. Kiedy zaangażował się w świadczenie pomocy humanitarnej, nie unikał wyzwań. Był zarówno na Ukrainie podczas wojny, jak i w Turcji po trzęsieniu ziemi. Łaskarzewski przyznaje, że niepokoił się o Damiana, kiedy ten wybierał się w rejony wyjątkowo niebezpiecznie, takie jak Strefa Gazy. Pytał go, czy faktycznie musi tam jechać. „Ktoś tym ludziom musi pomóc, od tego jestem" – odpowiadał. Kiedy nadeszła wiadomość o jego śmierci, sportowcy z przemyskiej drużyny nie mogli w nią uwierzyć, pytali, czy to nie primaaprilisowy żart. Ze śmiercią młodego wolontariusza nie może pogodzić się także jego trener. Pociechę znajduje w wierze, że choć zakończyła się ziemska droga Damiana Sobola, to jego życie trwa. „Jestem człowiekiem wierzącym. Jeśli chodzi o Damiana, to jego droga po śmierci może być tylko jedna" – stwierdza.

KIEDY ZAANGAŻOWAŁ SIĘ W ŚWIADCZENIE POMOCY HUMANITARNEJ, NIE UNIKAŁ WYZWAŃ. BYŁ ZARÓWNO NA UKRAINIE PODCZAS WOJNY, JAK I W TURCJI PO TRZĘSIENIU ZIEMI.

Kiedy przyszła informacja o tym, że zginęło siedmiu naszych kolegów z World Central Kitchen, jeszcze przed podaniem nazwisk czułem, że wśród nich będzie niestety Damian. No bo kto, jak nie on? On zawsze jechał pierwszy, nigdy nie wysłałby najpierw swoich ludzi.

MIKOŁAJ RYKOWSKI, prezes fundacji Wolne Miejsce

eprasa.pl 739e5c70ee

eprasa.pl 739e5c70ee

Ad calendas CPKas znaczy na święte nigdy

Nowy rząd, będąc jeszcze w opozycji, podważał sens budowy Centralnego Portu Komunikacyjnego. Potem w kampanii wyborczej obecna większość próbowała przekonywać Polaków, że jednak popiera tę ideę. Teraz już po ponad 100 dniach rządów **coraz mniej** wskazuje na to, że ta ważna dla Polski inwestycja będzie kontynuowana.

Adrian Siwek

Ideę budowy Centralnego Portu Komunikacyjnego popiera zdecydowana większość Polaków, w tym także tych deklarujących poparcie dla obecnego rządu. W lutym sondażownia IBRIS przeprowadziła badanie na zlecenie „Rzeczpospolitej", z którego wynika, że ideę powstania wielkiego węzła transportowego popiera 58,2 procent ankietowanych. Przeciwników jest zaledwie 23,2 procent. Pozostali nie mają zdania w tej sprawie.

Rząd przeciwnikiem CPK

Mimo to obecny rząd prowadzi swoistą grę pozorów. Z jednej strony – padają deklaracje, że prace będą kontynuowane, ale z drugiej – po przejęciu CPK przez nowy rząd do władz spółki trafili przeciwnicy tej inwestycji, a politycy koalicji coraz częściej powtarzają swoje tezy o „megalomańskiej inwestycji".

Do jednego z najbardziej absurdalnych stwierdzeń w tej sprawie posunął się ostatnio prezydent Warszawy, wiceprzewodniczący Platformy Obywatelskiej Rafał Trzaskowski, odnosząc się do artykułu niemieckiego „Die Welt", które ubolewało nad tym, że powstanie CPK będzie wypowiedzeniom wojny niemieckiemu przemysłowi lotniczemu. – Zróbmy im konkurencję Okęciem i rozbudowanym Modlinem. [...] Modlin jest na gruntach Skarbu Państwa, nikogo nie trzeba wyrzucać. Jest bliżej Warszawy, jest lepiej skomunikowany. Zróbmy Niemcom taką konkurencję, żeby się nie pozbierali – przekonywał na antenie Radia Zet.

PiS nie ma złudzeń

W to, że obecny rząd będzie kontynuował prace nad Centralnym Portem Komunikacyjnym, nie wierzy Prawo i Sprawiedliwość.

Zapytaliśmy posła tej formacji Adama Andruszkiewicza, jak ocenia szanse na to, że ostatecznie rząd zdecyduje się na kontynuowanie projektu. – Obawiam się, że szansa jest żadna. Mówię to z bólem serca, bo jestem wielkim zwolennikiem CPK, podobnie zresztą jak całe Prawo i Sprawiedliwość. Obserwując te pozorowane „działania" obecnego rządu, mam poczucie, że to jedynie próba stworzenia wrażenia jakichkolwiek prac z uwagi na to, że obecnie mamy okres wyborczy, aby trochę wyciszyć oczekiwania opinii publicznej – mówił. – Nie po to ta koalicja wygrała wybory, żeby takie ambitne projekty były w Polsce realizowane – dodał.

Adam Andruszkiewicz skomentował także słowa Rafała Trzaskowskiego o tym, że konkurencją dla Berlina mają być Okęcie oraz Modlin. – Jeżeli ktokolwiek twierdzi, że będziemy w stanie Modlinem rywalizować z Berlinem, to naprawdę nie wie, o czym mówi. Myślę, że każdy, kto był na tym lotnisku, wie, że jest ono niewydolne. To lotnisko, na którym często do samolotu trzeba wsiadać, idąc do niego piechotą w czasie deszczu. Takie stwierdzenia powinny wywoływać jedynie śmiech. To propaganda, która ma uzasadnić Polakom brak budowy CPK – ocenił.

– Trzeba sobie jasno powiedzieć: bez Centralnego Portu Komunikacyjnego Polska nie wskoczy na wyższy poziom rozwoju, bo ani Chopin, ani Modlin, nie mają dostatecznych możliwości rozwoju, których Polska potrzebuje – podsumował.

Fot. Adobe Stock

eprasa.pl 739e5c70ee

O'Leary ujawnił prawdziwe zamiary

To, że nowy rząd nie zamierza realizować Centralnego Portu Komunikacyjnego, zdradził znany ze swojego sprzeciwu wobec tej inwestycji prezes linii Ryanair Michael O'Leary, któremu bardzo zależy na zachowaniu Modlina, na który jego linie posiadają praktycznie monopol.

– Wydaje mi się, że nowy rząd ma lepsze i bardziej przyszłościowe podejście. Nie ma też wizji tworzenia Centralnego Portu Komunikacyjnego. Spotkaliśmy się już z wiceministrem infrastruktury i jesteśmy zdania, że zależy mu na rozwoju wszystkich lotnisk w Polsce – powiedział w rozmowie z wnp.pl.

– Wydaje mi się, że nowy zarząd PPL, jak tylko zakończą się wybory samorządowe, a marszałek województwa mazowieckiego zostanie wybrany na kolejną kadencję, wdroży nowy plan rozwoju dla Modlina i mam nadzieję, że część tego planu zostanie zrealizowana w ciągu najbliższego roku lub dwóch lat – dodał.

Gra audytem

Obecne władze cały czas próbują tłumaczyć swoje zwlekanie w sprawie CPK kwestią konieczności przeprowadzenia audytu, który ma wykazać, że w czasach Prawa i Sprawiedliwości dochodziło do rzekomych nadużyć.

Po zaprzysiężeniu rządu zapowiedziano osiem audytów poszczególnych obszarów w spółce, które miały prowadzić zewnętrzne firmy. Rozstrzygnięto cztery przetargi i wszystkie zostały unieważnione. Pierwszy bez podania przyczyny, drugi z uwagi na ofertę powyżej założonego budżetu, następnie konfliktu interesów, a na końcu z powodu... niewpłynięcia żadnej oferty.

Na początku kwietnia służby prasowe Centralnego Portu Komunikacyjnego przekazały w komunikacie, że z powodu braku ofert nie rozstrzygnięto kolejnego przetargu na audyt finansowy projektu.

Maciej Lasek, próbując wyjść z twarzą, następnie ogłosił, że audyt zostanie przeprowadzony wewnętrznie. Wzbudziło to ogromne kontrowersje. Trudno wyobrazić sobie „niezależny" raport, skoro ma on zostać przeprowadzony przez ekipę, która została powołana przez nowy rząd i ma ona rozliczać poprzedni, a do tego sama w większości składa się ze zdeklarowanych przeciwników inwestycji, łącznie z samym pełnomocnikiem rządu ds. CPK Maciejem Laskiem. Co więcej, według informacji Onetu samo przeprowadzanie audytu jest o tyle absurdalne, że zmieniły się władze, ale trzon pozostał ten sam, i teraz pracownicy, którzy pracują tam od lat... sprawdzają samych siebie.

Aktualnie do Biura Pełnomocnika do spraw CPK trafiły pierwsze wewnętrzne dokumenty i trwa ich analiza.

Inwestycja opóźniana jest przez obecny rząd także innymi metodami. 8 kwietnia biuro prasowe CPK poinformowało, że spółka Centralny Port Komunikacyjny złożyła pismo do wojewody mazowieckiego o przedłużenie o 30 dni terminu uzupełnienia wniosku o decyzję lokalizacyjną dla lotniska. Chociaż wniosek o decyzję lokalizacyjną dla lotniska do wojewody został złożony już w październiku ubiegłego roku przez poprzednie władze, wojewoda 10 lutego zwrócił go do uzupełnienia, dając na to 60 dni. Ten czas okazał się jednak zbyt krótki dla obecnego zarządu CPK, który nie podołał z tym zadaniem. Pozostaje tylko pytanie, czy nie zrobiono tego celowo.

CPK w cieniu wyborów

Nie można wykluczyć scenariusza, że cały obecny cyrk spowodowany jest tym, że obecnie mamy gorący wyborczy okres. Dopiero co odbyły się wybory samorządowe, a przed nami europarlamentarne. Być może obecna gra to tylko chłodna kalkulacja wynikająca z obawy, że odrzucenie tego ważnego dla Polaków projektu mogłoby negatywnie odbić się na wynikach. Niewykluczone, że już zaraz po wyborach do PE dowiemy się, że Centralny Port Komunikacyjny jednak się nam nie opłaca.

eprasa.pl 739e5c70ee

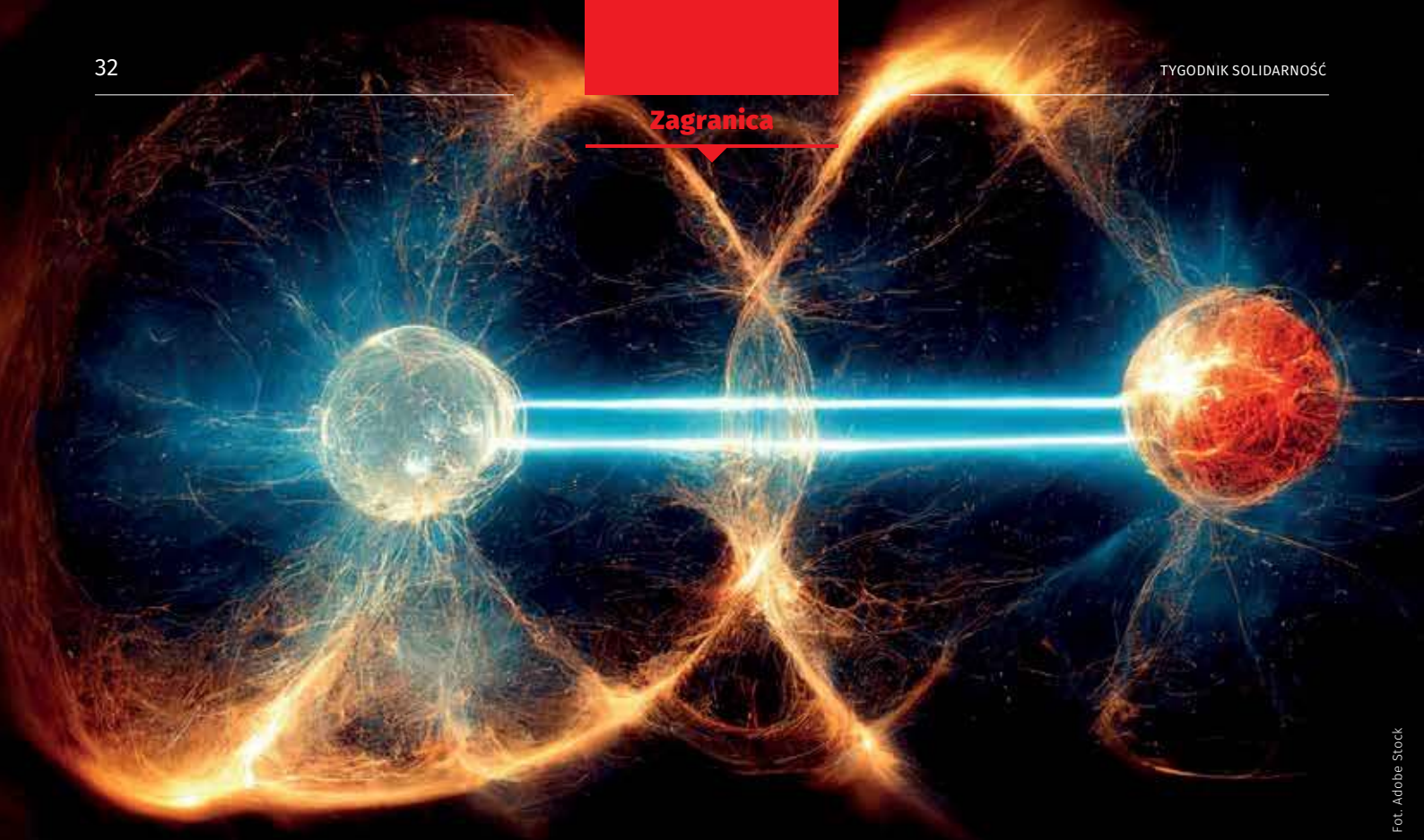

Fot. Adobe Stock

Rewolucja w energetyce.

KOREA BĘDZIE PIERWSZA

Południowokoreańscy fizycy ogłaszają, że na początku kwietnia udało im się przedłużyć kontrolowaną reakcję fuzji jądrowej. Przez kilka dni informacja otwierała czołówki gazet naukowych – na razie jedynie naukowych, choć tak naprawdę to informacja mówiąca o stworzeniu źródła **nieograniczonej energii** – sztucznego słońca, które już niedługo zapłonie na Półwyspie Koreańskim, dając darmowy prąd niemal 60 milionom mieszkańców kraju. Koreańczycy zazdrośnie pilnują rozwiązań, bo dzięki nim w perspektywie kilku lat mogą stać się największym producentem energii na świecie. Energii najczystszej z możliwych.

Wojciech Kulecki

Kontrolowana reakcja fuzji jądrowej od dekad była Świętym Graalem fizyków i energetyków z całego świata. Udane próby rozpalenia sztucznych słońc mają za sobą Amerykanie, Chińczycy, ale także Europejczycy z podgenewskiego laboratorium CERN. Wszystkie dotychczasowe próby były w mniejszym lub większym stopniu skuteczne (czyli sztuczne słońca udało się rozpalić, jednak reakcje fuzji trwały zbyt krótko, żeby móc myśleć o ich komercyjnym wykorzystaniu), ale tylko południowi Koreańczycy szykują się do zbudowania elektrowni zasilanej najczystszą znaną ludzkości energią. Ich wieloletnie badania doprowadziły do niemal pełnego kontrolowania reakcji fuzji, bijąc nie tylko naukowe rekordy, ale przede

wszystkim okiełznania dotychczas niemożliwej rzeczy, czyli podtrzymania reakcji i kontrolowania długości jej trwania. Koreańczycy utrzymywali reakcję fuzji przez niemal minutę (48 sekund) i zapowiadają, że następnym krokiem w badaniach będzie 300-sekundowa wa reakcja z jej precyzyjnym zakończeniem przez inżynierów energetyków.

Koreańska gwiazda

Dzisiaj nie ma mieszkańca Seulu, który nie wiedziałby, jak nazywa się największy koreański reaktor fuzyjny – to KSTAR, pochodzący z języka angielskiego akronim oznaczający koreańską gwiazdę (K – Korean, Star – gwiazda). Nie ma też mieszkańca tego kraju, który nie znałby nazwiska Si-Woo Yoon, dyrektora KSTAR Research Center, który w ciągu kilku dni stał się gwiazdą przyćmiewającą swoją popularnością niejedną gwiazdę k-popu, czyli popularnej nie tylko w Korei muzyki, za której gwiazdami szaleją nastolatki na całym świecie.

KSTAR jest potężnym generatorem najbardziej fundamentalnej reakcji w kosmicznej fizyce, czyli łączenia lekkich jąder atomu wodoru w nieco cięższe atomy helu.

NASTĘPNYM KROKIEM KOREAŃSKICH NAUKOWCÓW MA BYĆ REAKCJA O DŁUGOŚCI 300 SEKUND PRZY TEMPERATURZE PLAZMY PONAD 100 MLN STOPNI.

Do przeprowadzenia takiej reakcji są potrzebne warunki, których jeszcze na początku tego tysiąclecia ludzkość nie była w stanie spełnić – temperatura i ciśnienie takie, jakie panują w gwiazdach, choćby w takiej, jak nasze rodzime Słońce (przynajmniej od 10 miliardów lat oświetlające i ogrzewające nie tylko naszą planetę, ale cały Układ Słoneczny, którego ostatnia planeta znajduje się 40 razy dalej niż Ziemia). W Słońcu wciąż zachodzą reakcje fuzji jąder wodoru, ale kiedy wyczerpie się paliwo wodorowe, w gwieździe rozpocznie się reakcja łączenia atomów helu w atomy węgla – to będzie początek końca naszej gwiazdy dziennej (końca oczywiście w astronomicznej skali czasu, bo będzie to trwało kolejne kilka miliardów lat), ale z pewnością koniec życia na Ziemi. Słońce rozrośnie się bowiem do takich rozmiarów, że nasza planeta zostanie w końcu przez nie pochłonięta.

To też wiedza, którą dzięki opisywanym w codziennych mediach sukcesach koreańskiej fizyki jądrowej ma dzisiaj niemal każde dziecko w tym kraju. Na razie jednak Koreańczycy skupieni są na tym, żeby rozpocząć niekończącą się w sposób naturalny fuzję jąder wodoru i móc w każdej chwili panować nad taką reakcją. Poziom złożoności problemu widać wyraźnie, kiedy spojrzymy na liczby – w koreańskim tokamaku (typ reaktora w kształcie walca lub kuli, gdzie plazma utrzymywana jest w środku dzięki niewyobrażalnie silnym polom elektromagnetycznym) panuje taka temperatura, jak we wnętrzu Słońca – około 100 milionów stopni Celsjusza! Żeby reakcja zachodziła w sposób ciągły, trzeba jej dostarczać paliwa (w tym przypadku wodoru), co przy takich wartościach nie jest wcale łatwe – technologia, którą dysponujemy, nie pozwala na tworzenie materiałów wytrzymujących takie wartości temperatur.

KSTAR JEST POTĘŻNYM GENERATOREM NAJBARDZIEJ FUNDAMENTALNEJ REAKCJI W KOSMICZNEJ FIZYCE.

Okiełznać 100 milionów stopni

Jak w takim razie osiągnęli to Koreańczycy? Szczegóły są oczywiście ich pilnie strzeżoną tajemnicą. Na potrzeby potwierdzenia ich naukowych osiągnięć zespół Si-Woo Yoona ujawnił tylko, że strategiczna część reaktora została zbudowana z wolframu – to metal, jeden z najcięższych na Ziemi, który znamy z żarówek starego typu, gdzie światło wytwarzane jest przez podgrzewanie wolframowego drucika.

– Pomimo że jest to pierwszy eksperyment przeprowadzony z wolframowymi dywertorami, dokładne testy sprzętu i kampania przygotowawcza pozwoliły nam na uzyskanie w krótkim czasie rezultatów lepszych niż przy ostatnim rekordzie – ujawnia Si-Woo Yoon, dyrektor KSTAR Research Center. – Jednak aby osiągnąć ostateczny cel

działania KSTAR, planujemy kolejno zwiększać siłę ogrzewania i moc urządzeń napędzających plazmę, jak również wdrożyć kluczowe technologie potrzebne do uzyskania długich pulsów działania plazmy.

Następnym krokiem koreańskich naukowców ma być reakcja o długości 300 sekund przy temperaturze plazmy ponad 100 mln stopni. Żeby to osiągnąć, nie niszcząc urządzenia w tokamaku, muszą być zamontowane wolframowe powierzchnie kontaktujące się z plazmą, całość urządzenia będzie zaś kontrolowana i pilotowana przez sztuczną inteligencję stworzoną specjalnie do tego programu. Jego finałem ma być uruchomienie pierwszej demonstracyjnej elektrowni fuzyjnej DEMO – elektrowni, która pozwoli Koreańczykom dostarczyć energię – niemal darmową z perspektywy komercyjnych i prywatnych odbiorców – dla całego kraju. Z czasem Korea Południowa zamierza sprzedawać nadwyżki energii, po cenach nieco niższych niż obecne komercyjne, ale pozwalających rządowi w Seulu zakładać, że kraj w niedługim czasie może stać się najbogatszym państwem w Azji.

Najczystsza energia

Na czym polega fenomen takiego nieograniczonego i czystego źródła energii? Fuzja jądrowa jest jednym z najbardziej obiecujących sposobów generowania dużych ilości bezemisyjnej energii w przyszłości. To proces, w którym jądra atomowe zderzają się ze sobą, ulegając syntezie i uwalniając przy tym gigantyczną (większą niż w przypadku rozpadu jąder ciężkich atomów, co występuje w obecnie działających elektrowniach atomowych) energię. Aby ją uzyskać, należy podgrzać gaz złożony z dwóch izotopów wodoru, deuteru i trytu, do wysokiej temperatury rzędu 100 mln stopni Celsjusza (po uruchomieniu reaktora reakcja zaczyna „podgrzewać" się sama).

Elektrownie wykorzystujące zjawisko syntezy jądrowej będą bezkonkurencyjne na wielu płaszczyznach – przede wszystkim będą stuprocentowo bezemisyjne, bo jedynym produktem ubocznym reakcji jest niewielka ilość helu, który jest gazem szlachetnym i nie wpływa w żaden sposób na zanieczyszczenie powietrza. Również paliwo jest w tym wypadku bajecznie tanie i łatwe w pozyskaniu – deuter można ekstrahować z wody (również z morskiej), a tryt jest wytwarzany z litu, który znajduje się w skorupie ziemskiej. Jeden kilogram paliwa termojądrowego może zapewnić taką samą ilość energii jak... 10 milionów kilogramów paliwa kopalnego. W przypadku tej elektrowni nie ma również mowy o zagrożeniu radioaktywnym – do uzyskiwania energii potrzebne są niewielkie ilości paliwa, mowa jest o paliwie o masie... znaczka pocztowego. Przy takiej skali nie ma mowy o wypadku jądrowym na wielką skalę. Faktycznym kosztem jest jedynie budowa samej elektrowni i postawienie systemów komputerowych zapewniających jej obsługę. Obsługę, która w znacznym stopniu będzie zautomatyzowana, co również istotnie obniża koszty.

> ELEKTROWNIE WYKORZYSTUJĄCE ZJAWISKO SYNTEZY JĄDROWEJ BĘDĄ BEZKONKURENCYJNE NA WIELU PŁASZCZYZNACH – PRZEDE WSZYSTKIM BĘDĄ STUPROCENTOWO BEZEMISYJNE, BO JEDYNYM PRODUKTEM UBOCZNYM REAKCJI JEST NIEWIELKA ILOŚĆ HELU.

Koreańczycy wygrywają wyścig

Pierwszą udaną i w części kontrolowaną reakcję fuzji jądrowej przeprowadzili Amerykanie dwa lata temu. I choć był to sukces w obszarze rozwoju energetyki, amerykański departament energii przewidywał, że komercyjne wykorzystanie fuzji będzie możliwe dopiero w perspektywie dwóch dekad. Koreański sukces znacznie przyspiesza dostęp ludzkości do tego w praktyce nieograniczonego źródła. Koreański rząd zapowiada jednak, że będzie pilnował swojej technologii, nie ukrywając, że nowe elektrownie mogą się stać dla kraju dźwignią do budowy pozycji największego mocarstwa energetycznego świata. To oczywiście nie oznacza, że sukces Seulu nie zostanie powtórzony przez amerykańskich i europejskich fizyków, choć wówczas może już podlegać ochronie międzynarodowego prawa patentowego. Jednak bez względu na to, kto pierwszy zbuduje elektrownię fuzyjną, ludzkość wkroczyła w nowy etap swojego rozwoju – etap energii pozyskiwanej niemal zupełnie bezkosztowo.

eprasa.pl 739e5c70ee

Z ARCHIWUM Tomasza Gutrego

Basia: – Był Pan na kilku Mszach za Ojczyznę odprawianych przez księdza Jerzego Popiełuszkę.

Tomek: – Chyba na trzech albo czterech.

– W listopadzie 1984 roku robił Pan zaś zdjęcia na jego pogrzebie.

– Tak. Dostałem akredytację z „Przeglądu Katolickiego", z którym wówczas współpracowałem. Redaktor naczelny powiedział: „Niech Pan sam wypełni". Wróciłem do domu, napisałem, że akredytacja jest dla dwóch osób i poszedłem na ten pogrzeb z mamą. Było bardzo zimno. Ale mama powiedziała: „Wiesz, taki był nastrój, że nie czułam, że marznę".

– Księdza Jerzego żegnało mnóstwo ludzi, co widać na zdjęciu. Zostało zrobione jakiś czas po pogrzebie, a widzimy na nim dywan z kwiatów.

– Na pogrzebie ludzie byli wszędzie, stali nawet na dachach okolicznych budynków. Dla mnie to był właściwie pierwszy reportaż, podczas którego były także tłumy fotografujących, wszyscy się rozpychali, nie wszędzie można było wejść.

Staliśmy z kolegami fotografami i w pewnym momencie jednego podsadziliśmy. Każdy dawał mu aparat i on robił nam zdjęcia. Wszyscy stwierdziliśmy, że autorem zdjęć był ten, czyim aparatem zdjęcie wykonano.

– To na pogrzebie. A kiedy zrobił Pan zdjęcie wybrane do tego numeru „TS"?

– To musiało być miesiąc, dwa po pogrzebie, pewnie przy okazji Mszy za Ojczyznę. Tu jeszcze nie ma pomnika, który powstał w następnym roku.

Rozmawiała Barbara Michałowska

eprasa.pl 739e5c70ee

ŚWIAT WEDŁUG CHODAKIEWICZA

Od krucjat do kolonializmu

Marek Jan Chodakiewicz

W XI w. światy islamu doświadczyły dwóch bardzo poważnych wyzwań. Pierwszym były chrześcijańskie krucjaty, aby uwolnić Ziemię Świętą (XI–XIII w.). Po wstępnych sukcesach zakończyły się jednak zupełną klęską i wyparciem krzyżowców z Bliskiego Wschodu w ciągu około 200 lat.

Podobnie brakiem sukcesu odznaczały się krucjaty na Bałkanach. Rycerstwo Zachodu walczyło w nich bardzo sporadycznie bez większego skutku od XIV w. W następnych wiekach w tych zmaganiach brali udział Polacy, szczególnie z negatywnym skutkiem Jagiellonowie (Warna, 1444; Mochacz, 1526), chociaż potem Rzeczpospolita stopniowo doprowadziła do pata, a dużo później do przełomu w formie wiktorii wiedeńskiej (1683). W międzyczasie zwycięstwem natomiast skończyła się rekonkwista w Hiszpanii, która po trwających kilkaset lat wojnach uwolniła półwysep od islamu dopiero w 1492 r.

Dużo poważniejszym wyzwaniem od chrześcijańskich krucjat była dla mahometan inwazja mongolska (XIII–XIV w.). Azja Środkowa podnosi się z jej skutków do dziś. Ale i centralne ziemie podporządkowane islamowi zostały straszliwie zdewastowane. Mongołowie zdobyli bagdadzką stolicę kalifa i go ścięli. Wymordowali prawie wszystkich, nawet mieszkanki haremu, chociaż oszczędzili chrześcijan i żydów. Był to symboliczny koniec systemu kalifackiego ustanowionego w VII w. Niektórzy mahometańscy badacze odnoszą się do mongolskiego podboju jako „holocaustu".

Postmongolskie imperium Timura Kulawego, czyli Tamerlana (1336–1405), było ostatnią poważną eksplozją zagrażającą światom islamu. Paradoksem jest, że hordy tamerlańskie w większości już wyznawały islam. Mimo to ich ofensywa o mało nie zniszczyła całkowicie imperium osmańskiego, które powoli zbliżało się do zenitu swej potęgi.

Mongołów pierwsi zatrzymali rządzący Egiptem tureccy mamelucy. Stanowili największą regionalną siłę w systemie sułtańsko-emirackim aż do zwycięstwa nad nimi przez Turków osmańskich na początku wieku XVI. W międzyczasie ci ostatni właśnie wyrośli na największą potęgę światów muzułmańskich. Jak wspomnieliśmy, ich ekspansję na krótko zatrzymali spadkobiercy Mongołów na przełomie XIV i XV w. Ale potem Imperium Osmańskie długo nie miało sobie równych. Turcy osmańscy najpierw pobili Anatolię, wyzyskując wcześniejsze sukcesy Seldżuków. Zbrojnie ustanowili się panami Bałkanów. Te wnet stały się gospodarczym zagłębiem ich państwa. Turcy zniszczyli imperium bizantyjskie, zdobyli Konstantynopol w 1453 r. i dotarli aż pod Wiedeń w 1529 r. Kontrolowali dużą część Węgier. Opanowali północną Afrykę, Mezopotamię i Arabię. Narzucili swoją władzę wschodniemu wybrzeżu Afryki aż do Somalii. Podlegał im – nominalnie przynajmniej – nawet Zanzibar.

DUŻO POWAŻNIEJSZYM WYZWANIEM OD CHRZEŚCIJAŃSKICH KRUCJAT BYŁA DLA MAHOMETAN INWAZJA MONGOLSKA (XIII–XIV W.). AZJA ŚRODKOWA PODNOSI SIĘ Z JEJ SKUTKÓW DO DZIŚ.

Notabene warto odnotować, że Dan Goffman w publikacji „The Ottoman Empire and Early Modern Europe" [Imperium osmańskie i wczesnonowożytna Europa] (Cambridge: Cambridge University Press, 2002) uważa, że Wysoka Porta była potęgą europejską, zaangażowaną w europejski handel i system polityczny. Bezsprzecznie tak właśnie postrze-

eprasa.pl 739e5c70ee

gał siebie Istambuł. Ale była to perspektywa fałszywa, oparta na fantazji, że Turcy poprzez podbój stali się spadkobiercami „Rzymu", czyli Bizancjum, ze wszystkimi tego implikacjami. W podobny sposób należy rozumieć życzliwy Turkom przekaz w publikacji Stanforda J. Shawa „History of the Ottoman Empire and Modern Turkey" [Historia imperium osmańskiego i współczesnej Turcji], vol. 1: 1280–1809 (Cambridge: Cambridge University Press, 1976).

W każdym razie na południowy wschód od swych anatolskich i mezopotamskich granic Wysoka Porta (Bab-i Ali) natknęła się na opór imperium safawidzkiego, które ze swojego azerskiego matecznika opanowało tereny Persji (Iranu) i – częściowo – Azji Środkowej. Było słabsze od osmańskiego, ale panowało dumnie aż do początku XVIII w., kiedy to zniszczyli je niespodziewanie afgańscy koczownicy. Dalej na południowy wschód od Safawidów wyrosło imperium Wielkiego Mugała. Wywodziło się od zdobywców z Azji Środkowej. Zdominowało one Indie i część Azji Środkowej aż do XIX w.

Kres dominacji islamskich imperiów położył chrześcijański imperializm, a szczególnie Moskwa i Zachód. Był to proces długi i złożony. Jak pisał ks. prof. Samir Khalil Samir: „W ten sposób świat arabsko-muzułmański napotkał Zachód, który wydawał się jednocześnie fascynujący i szokujący. Zachód był fascynujący dlatego, że jego naukowe, technologiczne i militarne osiągnięcia były lepsze od tych, które potrafiła stworzyć islamska cywilizacja; a Zachód był też szokujący dlatego, że świat arabsko-muzułmański pozostawał zakotwiczony w kręgu swoich przeszłych blasków i glorii. To właśnie to spotkanie wymogło na świecie arabsko-muzułmańskim konieczność nagłego przebudzenia się i odkrycia straszliwej rzeczywistości".

Wtedy to właśnie fala islamu zaczęła się cofać głównie pod wpływem zachodniego imperializmu i kolonializmu. Od XV w. Moskwa, a potem Imperium Rosyjskie napierało na światy mahometańskie. Najpierw moskwiczanie rozbili postmongolskie hordy na wschodzie. Potem wyszli na kazachskie stepy, a w XVII w. skierowali się na południe do Azji Środkowej. Do drugiej połowy XIX w. opanowali tamtejsze chanaty. Weszli do Pamiru, penetrowali Afganistan, mierzyli w Indie.

Jednocześnie Zachód nie próżnował. Budując na oporze i zwycięstwach Rzeczypospolitej, od XVII w. Austria wypychała mahometanizm z Bałkanów, gdzie wśród podbitych setki lat wcześniej ludów chrześcijańskich budziły się też tubylcze ruchy narodowe.

Dużo wcześniej jednak z mahometańskimi potentatami ścierała się potęga morska państw zachodnioeuropejskich. Było to przedłużenie iberyjskiej rekonkwisty. Już w XV w. na morzach islamowi rzuciła wyzwanie Portugalia, a potem Hiszpania. W ciągu dwustu lat dołączyły do nich Francja i Holandia. W końcu grę zdominowała Wielka Brytania. W XVIII i XIX w. zdobyła imperium, „gdzie słońce nigdy nie zachodziło". Do rywali Anglii doszlusowały w drugiej połowie XIX w. Włochy i Niemcy, które zapanowały nad ludnością mahometańską szczególnie we wschodniej Afryce. Kraje te pozostawały jednak w cieniu Albionu aż do XX w. Wtedy to na globalnej scenie pojawiły się USA.

Jednak od początku XVIII w. to właśnie Londyn stopniowo niszczył potęgę islamu. Może inaczej: przejmował podległości terytorialne mahometańskie, a islam zostawiał w spokoju tak długo, jak służyło to imperium. I zdobył największe połacie ziemi w Afryce, Indiach i gdzie indziej. Brzmi to ironicznie, ale do połowy XX w. Anglia była największą mahometańską potęgą na świecie. Prawdopodobnie większość poddanych brytyjskich w koloniach to wyznawcy mahometanizmu.

I to właśnie Wielka Brytania pobiła i zwasalizowała Wielkich Mugałów w Indiach, aby ich ostatecznie wykończyć w 1857 r. Imperium osmańskie powoli traciło swoje posesje w Europie i Afryce. Zbuntował się Egipt. Turków wypchnięto z Bałkanów. Próby reform spełzły na niczym. Kulała gospodarka, rósł dług publiczny, niemal całkowicie uzależniając państwo osmańskie od Europejczyków. W końcu Wysoka Porta padła w wyniku I wojny światowej. Po 1923 r. jej jądro przekształciło się w laicką, narodowo-socjalistyczną i militarną Turcję.

WYSOKA PORTA PADŁA W WYNIKU I WOJNY ŚWIATOWEJ. PO 1923 R. JEJ JĄDRO PRZEKSZTAŁCIŁO SIĘ W LAICKĄ, NARODOWO-SOCJALISTYCZNĄ I MILITARNĄ TURCJĘ.

Waszyngton, DC, 8 kwietnia br.

eprasa.pl 739e5c70ee

KULTURA

Czytaj też:
„Przysięga Ireny” – film o zwycięstwie życia 42

Jestem dziewczyną ze wsi. I JESTEM Z TEGO DUMNA

– Wiele osób podsycało we mnie takie uczucie, że gdy ktoś jest ze wsi, to musi być gorszy. Moja mama jest z Warszawy i rodzina ze strony mamy mówiła mi wprost, że gdybym chciała pójść do liceum do Warszawy, to muszę pamiętać, że szóstka w pipidówce, to w Warszawie zaledwie trójka. To nie było zdrowe – mówi **Ewa Zakrzewska**, influencerka, modelka plus size, przedsiębiorczyni, w rozmowie z **Bartoszem Boruciakiem**.

Ukończyła brytyjskie kursy dla modelek organizowane przez „Every Model Magazine” i największe agencje na Wyspach Brytyjskich. Jej zdjęcia pojawiały się w takich magazynach jak „Cosmopolitan”, „Viva” czy „K MAG” oraz w serwisach „Huffington Post” i „Plus Size Model Magazine”. W dzieciństwie zmagała się z nadwagą i chorowała na bulimię, dziś wspiera dziewczyny z podobnymi problemami i propaguje zdrowy styl życia. W ubiegłym roku została finalistką międzynarodowej kampanii Role Model by Panache. Występowała w polskich sesjach reklamowych i prasowych, w zagranicznych reklamach telewizyjnych oraz brała udział w licznych pokazach mody. Jest też najpopularniejszą w Polsce blogerką plus size.

Fot. arch. Ewy Zakrzewskiej

eprasa.pl 739e5c70ee

– Czujesz, że masz wpływ na swoich odbiorców?
– Tak.

– W jaki sposób przejawia się ten wpływ?
– Dziewczyny pytają mnie o rady dotyczące ubrań. Panie w moim rozmiarze nie kupią sobie majtek czy jeansów w pierwszym lepszym sklepie.

– To jaki nosisz rozmiar? Chociaż pewnie i tak nic mi to nie powie.
– W Polskiej rozmiarówce pewnie 60, w brytyjskiej 24–26. Wszystko zależy od firmy. Po prostu jestem duża.

– I ciągłe musisz się z tego tłumaczyć?
– Mam coraz mniej cierpliwości w mediach społecznościowych. Mam dość ludzi, którym muszę się tłumaczyć, dlaczego mam taki, a nie inny rozmiar. Czy chcę schudnąć, czy nie. A pytanie o wagę jest najważniejszym pytaniem.

– Naprawdę?
– Tak. Wracam do moich obserwatorek, na które mam wpływ. Dziewczyny mogły po raz pierwszy polecieć na wakacje, bo się ode mnie dowiedziały, że mogą poprosić o przedłużkę pasa bezpieczeństwa w samolocie. Mogą tam też dokupić siedzenie, jeżeli tego potrzebują. Prawie zawsze pytają o to te dziewczyny, które mieszczą się na jednym miejscu, ale przez te wszystkie sytuacje paraliżuje je strach przed lotami na długim dystansie. Musiałam moim obserwatorkom podać, ile mam w pasie czy w tyłku, żeby mogły sobie porównać wymiary.

– I tak bezpośrednio do nich pisałaś?
– Tak...

– Myślałaś o tym, żeby stworzyć ekipę dziewczyn, które tworzą podobne treści w internecie jak Ty?
– Na ten moment o tym nie myślałam. Na pewno chcę wyjść z plussize'owej szuflady. Widzę, że wiele dziewczyn plus size nie czuje tego, co robi. A dostają za to pieniądze. Wiem, że to jest ich praca i raz wykonają ją lepiej, a raz gorzej. Jednak ważne jest to, czy wierzą w produkt, który reklamują. W moim przypadku, gdy zaczynam reklamować jakiś produkt, muszę go poznać i używać przez kilka miesięcy. Trzeba uważać na współprace, które się podejmuje. Bo dobre imię – na które pracuję już od ponad kilkunastu lat w sieci – można zepsuć jedną reklamą.

– Ostatnio reklamowałaś dużą platformę zakupową.
– Tak. Kupiłam tam lampy, które wykorzystuję w moich materiałach. Nie różnią się one od tych, które nabyłam w Polsce. Chociaż jedne i drugie produkowane są w Chinach. Różnica jest taka, że w Polsce kupiłam ją za tysiąc złotych, a na platformie za sto. Są bardzo lekkie. Otrzymałam wiadomość z linkiem, że mam takie kupić, i kupiłam, gdyż nie znam się na oświetleniu.

– W mediach społecznościowych jesteś bardzo szczera. Słyszałem, że ostatnio ktoś przeciął Ci hamulce w samochodzie.
– Zdarza się. Jestem z bardzo małej miejscowości – niedaleko Olsztynka na Mazurach. Mam tam dużo życzliwych mi osób, ale są też i takie, które nie są mi życzliwe. Wciąż się zastanawiam, co im zrobiłam. Przecież nic! Nie widzę ich od kilkunastu lat, przyjeżdżam w rodzinne strony bardzo rzadko.

– Boli ich Twój sukces.
– No właśnie o to chodzi i mam tego dość, że komuś to przeszkadza. Ludzie myślą, że pokazanie się w telewizji to jest sukces, a to jest nieprawda.

– Jednak masz doświadczenie telewizyjne. Pojawiły się ostatnio jakieś propozycje?
– Z „Królowych życia". Różni ludzie namawiali mnie, żebym tam poszła. Ale nie poszłam.

– Lubisz telewizję?
– Nie lubię telewizji, ale lubię pieniądze z telewizji, które kiedyś dostawałam.

– Wystąpiłaś w „Hell's Kitchen". Byłaś też w jury programu „Supermodelka plus size".
– I miałam też kilka podchodów, które finalnie nie wyszły.

– Były śniadaniówki?
– Były, chociaż w tym roku nikt mnie nie zaprosił do żadnej z nich. Jestem obrażona [śmiech]. Muszę Ci powiedzieć, że śniadaniówki nie przynoszą pieniędzy. Kiedyś przynosiły rozgłos. Kiedyś stylizowałam modelki w „Dzień Dobry TVN" i to było super. Potem był konflikt z Maffashion, która wyśmiała moją stylizację w programie, a ja jej odpyskowałam. Ona to wyśmiała w bardzo niemiły sposób, no i wtedy się skończyła moja przygoda z TVN. Widocznie śmiech Maffashion był zbyt głośny.

IRYTUJE MNIE, ŻE INFLUENCERKI MAJĄ OLBRZYMI WPŁYW NA MEDIA.

– Kiedy to było?
– Dwa lata temu.

– Jeszcze świeża sprawa.
– Tak i nadal mnie to trochę irytuje, że influencerki mają tak olbrzymi wpływ na media. Wystarczy, że jednej dziewczynie coś się nie spodoba i od razu temat w mediach jest ucinany. Ale jeżeli ktoś ma duże zasięgi, to bardziej się liczy w mediach.

– Ile osób obserwuje Cię na Instagramie?
– Ponad 70 tysięcy. Jest to zaangażowana społeczność, która mi ufa, a zaangażowanie jest najważniejsze. Co z tego, że masz milionowe zasięgi, gdy twoi obserwujący nie wchodzą w reakcję z tobą ani z treściami, które tworzysz.

eprasa.pl 739e5c70ee

– Odmówiłaś jakiejś propozycji reklamowej?
– Tak. To była kampania bardzo znanego, słodkiego napoju, znanego przez każdą osobę na świecie. Jestem wrogiem wszelkich napojów energetycznych i słodzonych. Z drugiej strony, żałuję, że tego nie wzięłam, bo to były dobre pieniądze, a wówczas brakowało mi na wpłatę własną na mieszkanie własnościowe, którego nadal nie mam.

– Obserwuje Cię wiele dziewczyn, które też chciałaby działać w internecie. Od czego mają zacząć?
– Od telefonu. Niech nie popełniają błędów, które ja miałam na swoim koncie.

– Jakie błędy popełniłaś?
– Przeinwestowałam. O lampach już wspomniałam. Wnętrza, ciągłe kupowanie nowych ubrań. Bez sensu. Teraz chciałabym to ograniczyć. Nie chcę, żeby moje treści skupiały się wyłącznie na ubraniach.

PLANUJĘ ROBIĆ ROZMOWY Z CIEKAWYMI LUDŹMI.

– Co z Twoją marką odzieżową? Pamiętam, że współpracowałaś z Biedronką.
– Zgadza się. Zrobiłam dla Biedronki dwie kolekcje.

– A Lidl się nie odzywał?
– Lidl ma swoje kolekcje, ale kiedyś występowałam w ich reklamach.

– Czyli romansowałaś i z Biedronką, i z Lidlem.
– Biedronka lepiej płaci [śmiech]. A tak na poważnie – z Lidlem współpracowałam jako modelka, a z Biedronką jako influencerka, stąd lepsze zarobki.

– Wrócisz do modelingu?
– Gdyby zaprosił mnie dom mody, który jest niesamowity, to bym się zgodziła.

– Pochodzisz z Marózka – bardzo małej wisi na Mazurach.
– Zgadza się. Jest tam dużo turystów, którzy mają swoje domki letniskowe. Poza tym mieszka tam może pięć rodzin. I jak widzisz, wszyscy muszą się znać [śmiech]. Nawet nie ma sołtysa – jest w ościennej większej miejscowości.

– Jesteś dziewczyną ze wsi. Jesteś z tego dumna?
– Teraz tak. Kiedyś się tego wstydziłam.

– Dlaczego?
– Wiele osób podsycało we mnie takie uczucie, że gdy ktoś jest ze wsi, to musi być gorszy. Moja mama jest z Warszawy i rodzina ze strony mamy mówiła mi wprost, że gdybym chciała pójść do liceum do Warszawy, to muszę pamiętać, że szóstka w pipidówce, to w Warszawie zaledwie trójka. To nie było zdrowe.

– Nie myślałaś o tym, żeby z mężem tworzyć treści w mediach społecznościowych?
– Karol ma poważną pracę, chociaż ostatnio zaczął streamować. Na co dzień jest spokojny, a gdy zaczyna grać, to zachowuje się jak barbarzyńca. I ma naprawdę ostre poczucie humoru. Czyli taki doktor Jekyll i pan Hyde.

– Co obecnie zajmuje Ci najwięcej czasu?
– Nasze studio fotograficzne, które prowadzę z przyjaciółką. Ciągle wymyślamy coś nowego. Nowe pomysły na sesje. Nowe dekoracje. Dzieje się. Sprzedajemy również plussize'owe ubrania. Robię to od kilkunastu lat, kiedyś nawet prowadziłam butik. Teraz skupiłam się na sprzedaży wysyłkowej. A przy okazji pracuję nad moją kolekcją. Więcej informacji podam wkrótce.

– I jeszcze prowadzisz wędzarnię z braćmi?
– Tak. Jestem królową pasztetów. Robimy najlepszy pasztet. Wędzimy mięso – głównie wieprzowinę – i ryby. Zależy nam na tym, żeby tworzyć produkty wysokiej jakości bez konserwantów i innych przetworzonych uzupełniaczy.

– To może tak po influencersku – budka z kebabem?
– Podziękuję. Kiedyś pracowałam w knajpie z kebabami w Wielkiej Brytanii. Robiłam kebaby, smażyłam hamburgery. To była dodatkowa, wieczorowa praca.

– Kiedyś prowadziłaś sezonowe usługi gastronomiczne na Mazurach.
– Tak. Kochałam to. Włożyłam w to dużo serca i pieniędzy. Prowadziłam ten biznes przez kilkanaście lat, ale zamknęłam go po covidzie. Nigdy już nie wrócę do gastronomii.

– Ale otworzysz sklep z Waszymi wyborami wędzarniczymi?
– Otworzę [śmiech].

– Musisz pokazywać więcej jedzenia w mediach społecznościowych.
– Muszę zacząć to robić.

– Co możemy zobaczyć u Ciebie na profilu poza stylizacjami?
– Myślę teraz nad nowymi formatami, bo przygotowuję za dużo treści o ubraniach. Planuję robić rozmowy z ciekawymi ludźmi.

– Wrócę do Twoich telewizyjnych przygód. Dlaczego byłaś taka niemiła w programie „Supermodelka plus size"?
– To była niezamierzona kreacja. Przeważył tu brak doświadczenia przed kamerą.

– Masz natomiast duże doświadczenie w internecie, w którym działasz ponad 15 lat i oby jak najdłużej.
– Dziękuję bardzo [śmiech].

Współpraca: Basia Milewska

eprasa.pl 739e5c70ee

MUZYKA – PŁYTY Bartosz Boruciak

PABLOPAVO I LUDZIKI – LAKUNA
WYD. KARROT KOMANDO

Wpadająca w ucho muzyka i wartościowe teksty – z definicji nie powinno to zagrać, a jednak zagrało. Pablopavo wiadomo nie od dziś, że jest dobrym tekściarzem, a „Lakuna" potwierdza poziom lidera zespołu. Jest dużo funkowej pulsacji i ciekawych harmonii wokalnych. Te elementy sprawiają, że słuchacze mogą czuć, że są częścią danse macabre, którego nikt nie uniknie. Przecież wszyscy umrzemy. Dlatego warto przeżywać ziemską podróż w racjonalny sposób bez marnowania godzin na słuchaniu złej muzyki. Płytę polecam!

OTSOCHODZI – THE GRIND
WYD. 2020

Po bardzo dobrym początku, chwilach słabości, Otsochodzi wraca do gry i utrzymuje się na wysokim poziomie. Ze smakiem sprawnie łączy różne stylistyki i w tych wszystkich ruchach jest sens, a przede wszystkim lekkość, która obecnie jest towarem deficytowym w przemyśle muzycznym. Nie boję się tego napisać – Otsochodzi jest w czołówce rymujących zawodników w Polsce. Ciągły progres przekłada się na wysoki poziom wykonawczy, który można konsumować bez strachu przed refluksem. Polecam!

JACUŚ – FANTASMAGORIE
WYD. SBM LABEL

Nie jestem fanem estetyki wokalnej Jacusia, ale wiem, że jest modna. Nawijasz albo śpiewasz, jakbyś był bardzo zmęczony. Bez wyrazu i bez emocji. Taki jest Jacuś, który wyskakiwał mi nieustannie w mediach społecznościowych, bo reklamował bardzo popularny alkohol, który ma się nijak do młodego wykonawcy. A co do płyty... wstydu nie ma. Nie będę do niej wracał. Przesłuchałem raz i wystarczy. Są w niej momenty jak w polskim filmie fabularnym. Jeżeli konsumujesz sztukę fragmentarycznie, a nie całościowo, to polecam Jacusia, który brzmi jak Mata.

KOZA X MOLEHEAD – KUSZ
WYD. DYSPENSA RECORDS

Koza zawsze budzi emocje, jest wyrazisty i nie gryzie się w język. Raczej nie trafi do głównego nurtu, bo nie jest plastikowy. Panowie udowadniają, że w małej przestrzeni bez okien, chałupniczymi środkami, można nagrać bardzo dobrze brzmiącą płytę. Nie trzeba wydawać kilkuset tysięcy złotych na produkcję. Krytyka przemysłu muzycznego oraz przemyślenia młodych artystów, którzy mogą mieć wszystko, a nie mają nic. Gdy dorzucimy do tego gości – na czele z Michałem Szpakiem – którzy stanowią wartość dodaną, to mamy jakościowe wydawnictwo. Trzeba sprawdzić. Rekomenduję!

eprasa.pl 739e5c70ee

„Przysięga Ireny” – film o zwycięstwie życia

Agnieszka Żurek

„Kto ratuje jedno życie – ratuje cały świat” – głosi Talmud. Młoda Polka Irena Gut uratowała w czasie II wojny światowej wiele „światów” – w tym także życie poczętego dziecka zagrożonego aborcją.

Świetnie zagrany i zrealizowany film „Przysięga Ireny” opowiada historię młodej polskiej pielęgniarki, która po wybuchu II wojny światowej zostaje zmuszona do pracy w niemieckiej fabryce amunicji. Dzięki swojemu zaangażowaniu w wykonywanie obowiązków z ogromną starannością i w niezwykłym tempie Irena Gut awansuje w strukturze fabryki i zaczyna pełnić rolę przełożonej w szwalni, w której zatrudnionych zostało kilkunastu Żydów. Pewnego dnia podsłuchuje rozmowę niemieckich okupantów, z której dowiaduje się o planach likwidacji pobliskiego getta i wymordowania miejscowej społeczności żydowskiej. Postanawia uratować swoich podwładnych. Pomysł ten wydaje się samobójczy i szalony – tym bardziej że ukrywa ich w... rezydencji majora SS, który obdarza ją zaufaniem i przyjmuje ją do swojego domu na służbę. Dzięki odwadze, sprytowi i ciężkiej pracy Ireny codziennie ryzykującej życiem „jej” Żydzi przeżyli szczęśliwie

eprasa.pl 739e5c70ee

do końca wojny, powiększając nawet swoją gromadkę. W niewoli bowiem rodzi się mały Roman Haller – człowiek, któremu Irena Gut uratowała życie i który przybędzie do Polski na premierę filmu o swojej „drugiej mamie".

„Nie zrobię tego, nie pozwala mi na to moja religia. Kiedy zobaczyłam dziecko zabite na ulicy przez niemieckiego żołnierza, który roztrzaskał mu butem główkę, złożyłam przysięgę, że kiedy tylko będę miała możliwość uratować czyjeś życie, zrobię to" – odpowiada Irena na prośbę ukrywanych przez siebie Żydów o zorganizowanie im środków koniecznych do przeprowadzenia aborcji. Urodzenie dziecka w warunkach wojny, stałego zagrożenia życia, a na dodatek ukrywania się w rezydencji niemieckiego oficera, wydaje się szaleństwem, a jednak... się udaje. Pod koniec wojny, na krótko przed wkroczeniem Armii Czerwonej, Irena zostaje aresztowana przez gestapo. Ucieka. Trafia do sowieckiego obozu jenieckiego, skąd pomagają jej się wydostać uratowani przez nią Żydzi. Wielu z nich wyjeżdża po wojnie do Izraela, do końca życia Ireny utrzymując z nią kontakt. 8 lipca 1982 r. Instytut Yad Vashem w Jerozolimie uhonorował Irenę Gut-Opdyke tytułem Sprawiedliwej wśród Narodów Świata.

Fot. materiały dystrybutora

Heroizm młodej Polki, którym wykazała się w czasie wojennej próby, wywodził się z mocnego oparcia w wierze katolickiej oraz z wychowania patriotycznego i ukierunkowanego na służbę drugiemu człowiekowi. „Z powodu naszego nazwiska wiele osób uważało, że jesteśmy niemieckiego pochodzenia, ale rodzice byli gorącymi polskimi patriotami. Byliśmy Polakami. Wychowano mnie tak, abym się tym szczyciła. Rodzice byli wspaniałomyślni i dobrzy dla każdego. Chore zwierzęta, sąsiedzi w nieszczęściu, zmęczeni wędrowcy – wszystkich rodzice otaczali życzliwością i opieką. W Częstochowie zajmowałyśmy się z dziewczęcą czułością wszystkimi chorymi i opuszczonymi zwierzętami w okolicy. Mali pacjenci – koty, psy, króliki, ptaki – trafiali do naszego domu do mamusi, która potrafiła fachowo się nimi zaopiekować. Wyleczone zwierzęta wypuszczałyśmy na wolność lub znajdywałyśmy dla nich domy" – wspominała Irena Gut. „Jeśli wojna wybuchnie, muszę oddać Polsce, co się należy. W czasie wojny w mojej ojczyźnie będą potrzebne pielęgniarki. Napisałam do rodziców, że muszę zostać w Radomiu. Wiem, na czym polega mój patriotyczny obowiązek" – pisała tuż przed wrześniem 1939 roku.

FILM „PRZYSIĘGA IRENY" TRZYMA W NAPIĘCIU OD POCZĄTKU DO KOŃCA. GDYBY TA HISTORIA NIE WYDARZYŁA SIĘ NAPRAWDĘ, MOŻNA BYŁOBY UZNAĆ, ŻE JEST... ZBYT FILMOWA NA FILM.

Wojna jej nie oszczędzała. Przez radzieckich żołnierzy została ciężko pobita i zgwałcona. Była świadkiem wielu straszliwych tragedii. „Pierwszej nocy w lesie z koców sklecilismy namioty. Niektórzy z nas spali w ciężarówkach, niektórzy na ziemi. Część nie spała w ogóle, tylko stała w ciemnościach [...]. Rano odkryliśmy, że ośmiu żołnierzy, w tym oficerowie, popełniło w nocy samobójstwo, strzelając sobie w głowę lub podrzynając gardło. Tak rozpoczął się pierwszy dzień wygnania we własnym kraju. Gazety z triumfem ogłaszały sukcesy kampanii Armii Czerwonej w Finlandii i jej zwycięstwo nad Polakami. W milczeniu słuchałam relacji o rozbiciu polskiego wojska. Z trudem to znosiłam. Próbowałam uciec od myśli o rodzinie i o ukochanej Polsce zaatakowanej z dwóch stron. Wiele wieczorów przesiedziałam w szpitalnej świetlicy, słuchając propagandowych wystąpień opiewających zwycięstwa i zalety komunizmu" – pisała w pierwszych dniach niemiecko-sowieckiej okupacji.

Film „Przysięga Ireny" trzyma w napięciu od początku do końca. Gdyby ta historia nie wydarzyła się naprawdę, można byłoby uznać, że jest... zbyt filmowa na film. A jednak istniała, co sprawia, że nie możemy przejść obok niej obojętnie, uznając ją za niewiarygodną fikcję. Jesteśmy zmuszeni się w niej „przejrzeć", skonfrontować z nią nasze życie, zadać sobie pytania o wybory, jakich dokonalibyśmy w podobnych sytuacjach. I nagle nasze „dramy" przeżywane z pozycji wygodnego fotela zaczynają blednąć w świetle niewiarygodnej odwagi i poświęcenia głównej bohaterki dzieła Louise Archambault.

„Przysięga Ireny", reżyseria: Louise Archambault, scenariusz: Dan Gordon, zdjęcia: Paul Sarossy, gatunek: dramat wojenny, produkcja: Polska, Kanada 2023, dystrybucja: K&K Film Selekt/Quiver Distribution.

eprasa.pl 739e5c70ee

Czytam, chadzam, doradzam, odradzam

Wojciech Stanisławski

Bratny, czarna gwiazda

Emil Marat
„Bratny. Hamlet rozstrzelany"
Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2024

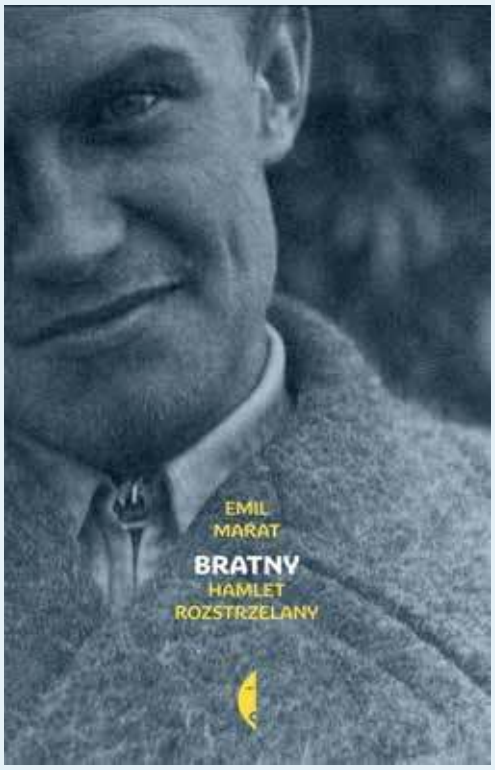

Nie jest łatwo przekonać nie tyle do tej książki, co do jej bohatera. Bo dla jednych Roman Bratny to postać prawie anonimowa, jakieś nazwisko majaczące na półce z książkami rodziców; sława mija tak szybko, ogromnej większości tych tytułów nigdy nie wznawiano. Dla innych, prostolinijnych, to autor jednej książki, do niedawna jeszcze w kanonie lektur: „Kolumbów": poruszającej – nawet jeśli zaledwie poprawnej literacko – trylogii o losach pokolenia „rówieśników Niepodległej". Ale czy to powód, by sięgać po biografię pisarza? Dla trzecich, tych obdarzonych lepszą pamięcią, to autor „Roku w trumnie": ohydnej groteski na Solidarność lat 1980–1981 i konspirację w stanie wojennym. Groteski wydanej w dodatku w czarnym roku 1983: żadna publikacja „Nie", żaden rysunek Mysyrowicza czy (współcześnie) Skorwidera nie ma takiej mocy rażenia jak tamte żarty z nastolatków, w których doszukiwano się rysów zabitego przez MO Grzegorza Przemyka. Czwartych, najbardziej ciekawych styku literatury i historii, świadomych, że Bratny – to wprawdzie „Rok w trumnie", ale i trylogia, która ostatecznie dała nazwę pokoleniu, rzecz może wprawdzie zaciekawić, ale – czy aż tak? No dobrze, powiedzmy, że autorowi udało się dotrzeć do niepublikowanych dotąd zapisków Bratnego, do nieznanych dokumentów IPN, i że poznamy jeszcze jedną gorzką opowieść o złudzeniach, uwiedzeniu przez propagandę, uwikłaniu przez specjalizujące się w szantażach SB: ale czy naprawdę warto?

Zapiski nie ocalały. „Nie zostawił dzienników. Niszczył listy. Rękopisy wyrzucał. Niewielkie archiwum, jakie miał, spłonęło w latach osiemdziesiątych – od palącej się sterty zeschłych liści zajął się ogniem drewniany domek w kącie ogrodu. Skruszałe papiery pewnie paliły się szybciej niż liście". Ale Emil Marat, pisarz i reporter, dokonał rzeczy niezwykłej.

Wokół Pokolenia Kolumbów Marat krąży niemal od początku swojej kariery pisarskiej: w roku 2014 wydał (wspólnie z Michałem Wójcikiem) „Made in Poland", czyli wywiad rzekę ze Stanisławem Likiernikiem, żołnierzem Kedywu AK, jednym z pierwowzorów powieściowego „Kolumba"; w 2018 roku ukazał się „Sen Kolumba", czyli doskonale napisany reportaż o AK-owcu Krzysztofie Sobieszczańskim, drugim – jak to brzmi – z pierwowzorów. W międzyczasie opublikował jeszcze – również wspólnie z Michałem Wójcikiem – „Ptaki drapieżne", traktujące o oddziale likwidatorów AK, oraz wywiad rzekę ze Stanisławem Aronsonem – żołnierzem Kedywu, konspiracji poakowskich i Sił Obronnych Izraela. Po tych książkach przyszedł czas na opowieść o tym, który wśród Kolumbów się obracał, stworzył ich literacki portret (pisząc o latach wojny nie wszystko; pisząc tyle, ile w 1957 roku można było), a potem „zdawał się szczerze, wręcz wściekle – jak we wspomnianym emblematycznym i przeklętym «Roku w trumnie» – walczyć z owym mitem, do którego tworzenia sam się przyczynił".

O synu „sanacyjnego" oficera Romanie Mularczyku, który od chwili wydania w podziemiu w 1944 roku pierwszego tomiku wierszy publikował pod pseudonimem „Bratny".

To oczywiście książka o styku polityki i historii, o złudzeniach i uwiedzeniu, o frakcjach partyjnych, kobietach, wódce i komerażach warszawskich. Ale także o rzeczy nierównie

eprasa.pl 739e5c70ee

głębszej: o tajemnicy artysty, który musi to, co stworzył, zniszczyć, bo zbyt krępuje go ucukrowana forma i hołdy składane dziełu, z którym się już nie utożsamia. O gniewie dziecka, które uważa, że zostało oszukane – i, nie potrafiąc tego darować, niszczy swoją dawną wiarę i tych, którzy byli jej przewodnikami. O skorpionim kolcu autodestrukcji.
To książka perfekcyjnie skonstruowana – ile warte jest choćby wyróżnienie trzech epok w życiu Bratnego na wzór pamiętnych podtytułów trzech tomów „Kolumbów"! „Życie po raz pierwszy" (w przypadku Bratnego – 1921–1944), „Życie po raz drugi" (1945–1975) i „Śmierć" (1976–2017). Ale przede wszystkim napisana z niezwykłym wyczuciem: bez żadnej taryfy ulgowej wobec głównego bohatera, bez przejęcia się pokrętnymi racjami bohatera na tyle, by uznać je za swoje (jak to się zdarzało dziennikarzom piszącym o biednych oficerach SB pozbawionych emerytur!), a jednocześnie, w ostatecznym rachunku – współczująca, choć bez szczypty czułostkowości. Jak w tym jednym, podwójnym obrazie:
„Amarantowe proporce, stukot kopyt na bruku, wierzchowce lśniące jak atłas, polowania i turnieje strzeleckie (w których jako dwunastolatek upokarzał oficerów, bo strzelał lepiej niż oni). Ordynans czyszczący ojcowskie oficerki. Garnizonowe bale. Wyprasowane mundury. Akademie z recytacjami Mickiewicza i Słowackiego. Wojny z chłopakami z sąsiedztwa. Ogniska na zasnutych majową mgłą polach, gdy umarł Piłsudski. Dźwięki trąbki rano i na capstrzyk. Śpiew i rżenie koni. Wszechobecny, ciepło-słodkawy zapach stajni.
Ten sam zapach i klaskanie kopyt po kamieniach będą mu towarzyszyć również w godzinie śmierci. Nie, nie w domniemanych reminiscencjach przeszłości – proszę nie spodziewać się w tej książce tego typu psychologizowania. Dosłownie: stare, wykupione z rzeźni konie wieczorami samopas schodzą z pól do stajni w poniemieckim siedlisku, z trudem remontowanym przez młodszą córkę Bratnego. Dach prawie się zapada, dużo much, cisza mazurskiego końca świata i on, zapomniany pisarz-gwiazda, dogorywający w drugiej dekadzie XXI wieku przy otwartym oknie w pokoju na poddaszu. Wygląda to jak stylizowana dla efektu narracyjna klamra, ale właśnie w takich okolicznościach raz jeden jedyny go spotkałem".

Radosny płomień

Marianna Oklejak, „Kolor i mrok. Kolaże i skrawki",
Muzeum Archidiecezji Warszawskiej,
wystawa otwarta do 19.05 br.

Graficy, którzy rysują również dla dzieci, mają w życiu zawodowym i łatwiej, i trudniej. Czemu łatwiej, to oczywiste – bo są nierównie bardziej rozpoznawani: mało kto bywa na wernisażach, ale kto nie przeszedł w życiu przez etap kupowania i czytania dziatwie kolejnych tomów „Basi" (i kto, dodajmy, tęsknie tego etapu nie wspomina?)? Czemu trudniej, też oczywiste: grozi im łatka „autorów dla dzieci i młodzieży", mordercza dla ambicji, szczególnie, odkąd sztuka wysoka poszybowała od nadmiaru helu w zawrotne wyżyny: najlepiej widać to pewnie w środowisku literatów, lecz nie tylko.
Dla dzieci pisywali jednak Eliot, Słomczyński (tłumacz „Ulissesa", jednej z najambitniejszych powieści XX wieku) i kilku jeszcze autorów z najwyższych półek. Rysują dla nich również wybitni, tym może tylko różniący się od koleżeństwa z roku na ASP, że lecą przez świat lotem pszczelim, nie osim: że świat cieszy ich raczej, niż oburza, że reagują nań prędzej żartem niż memem.
Takim żartem – żartem najwyższej graficznej próby – są kolaże i wycinanki Marianny Oklejak, prezentowane w Muzeum Archidiecezji Warszawskiej. Pozornie niedbałe, czasem – jak sycylijskie pejzaże – powstałe ze skrawków, wycinków, tektur podmalowanych pastelem – zachwycają. Zwierzęta i dziwożony wyglądają, jakby wyszły z bajek – ale już sycylijskie półbożki, duchy i zjawy przejmują ciekawością i niepokojem. Żart kryje się czasem w tytule dyptyku („RGB/CMYK", ucieleśnione w huzarze i meluzynie, namalowanych w dwóch kolorystykach), ale ciemności, półksiężyce, liście i ptaki są całkiem serio, jak z pierwszych mitologii. I płomienie, strzępiące się sposobem podpatrzonym na łowickich wystrzygankach, ale tu nieuładzone, zagadkowe. I kolory – tak soczyste, że aż trudno uwierzyć, że pochodzą ze zwykłego „zeszytu papierów kolorowych", kupowanego przez nas nie tak dawno w sklepie papierniczym.
I mistrzostwo, jakim jest stworzenie sugestii żaru przez proste zestawienie cytrynowej żółci, oranżu i makowej czerwieni.
W tych rysunkach kryje się tajemnica, która nie trwoży – i warto wejść w nią (można i z dziećmi), jak w półmrok wydanego w jakiś sycylijski wieczór balu.

eprasa.pl 739e5c70ee

HISTORIA

Kartka z kalendarza. **16 KWIETNIA** zdarzyło się:

1927 – Polskie Radio po raz pierwszy transmitowało w południe hejnał mariacki z Krakowa;

1952 – gen. August Emil Fieldorf został skazany przez Sąd Wojewódzki w Warszawie na karę śmierci.

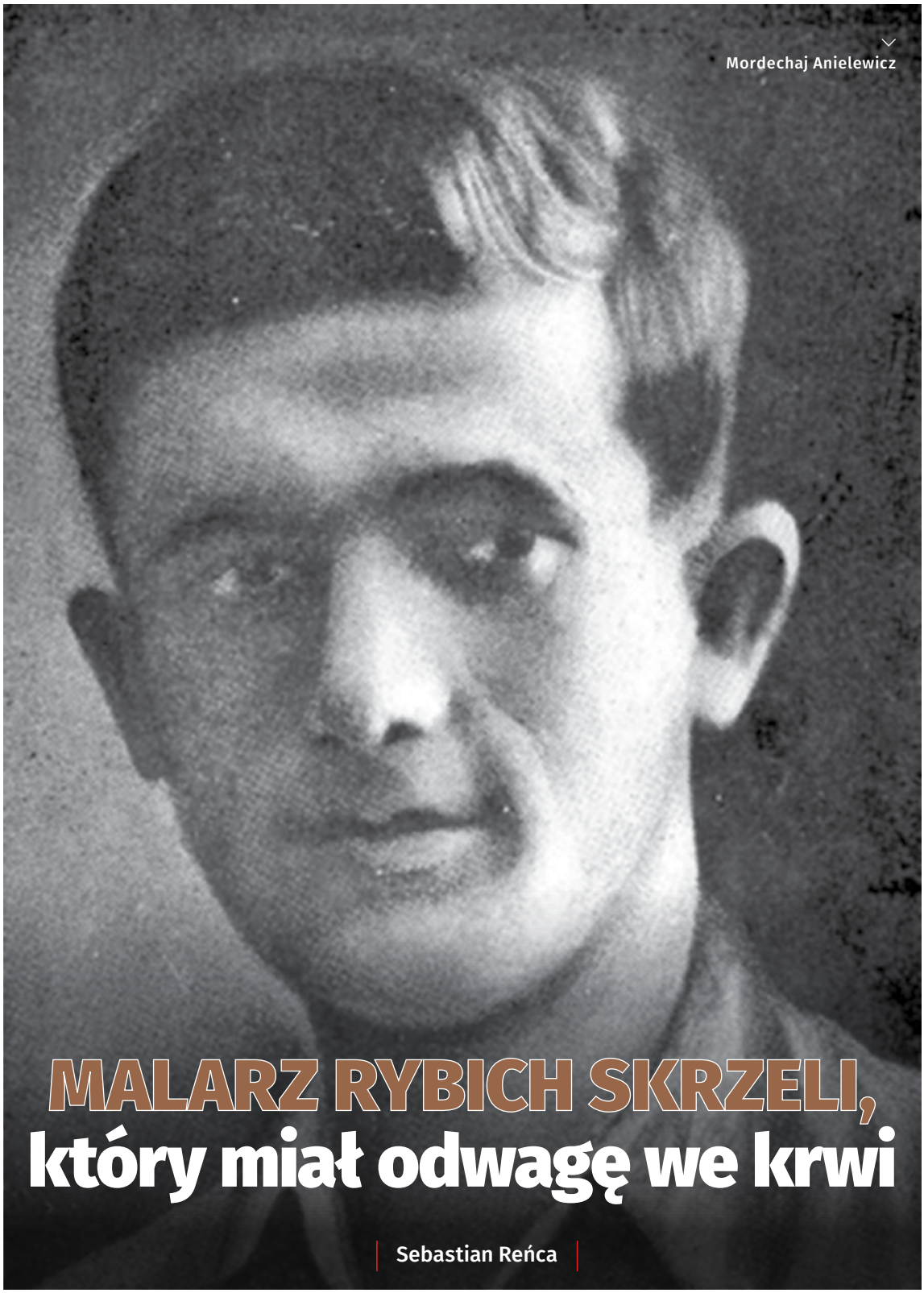

Mordechaj Anielewicz

MALARZ RYBICH SKRZELI, który miał odwagę we krwi

Sebastian Reńca

Fot. Wikimedia Commons

eprasa.pl 739e5c70ee

Na obrzeżach sosnowieckiej dzielnicy Środula przez wiele okupacyjnych miesięcy istniała enklawa wolności. Azyl. Miejsce, w którym można było zapomnieć o wojnie, okupacji, śmierci, głodzie, prześladowaniach, wywózkach na roboty i do Auschwitz... Latem 1942 roku mieszkał tam **Mordechaj Anielewicz**.

Zło świata zewnętrznego rozbijało się w tym miejscu o niewidzialny mur. Niektórzy uważali, że to zasługa „króla, anioła i zbawiciela". Taką opinię o Mojżeszu Merinie, szefie Centrali Żydowskich Rad Starszych na Wschodnim Górnym Śląsku, który rządził zagłębiowskimi Żydami w czasie wojny, usłyszał kiedyś pisarz Emil Zegadłowicz od nieznajomej kobiety w pociągu. Przed wojną Merin był znanym w Zagłębiu hochsztaplerem i karciarzem.

– O fermie mówiło się jak o bazie, gdzie można było oderwać się od smutnej rzeczywistości. Tam nie widać było Gestapo i Schupo, w ogóle Niemców. Niemcy wiedzieli o fermie jako o placówce pracy młodzieży żydowskiej. [...] Ferma z czasem stała się bazą ukrywania się przed władzami niemieckimi i milicją żydowską. Również niektórzy członkowie fermy później stanęli w szeregach ruchu oporu – wspominała działaczka podziemia Fela Katz.

Ferma wśród uli

Ogromnym wydarzeniem w życiu fermy, ale i nie tylko, był przyjazd do Sosnowca z Warszawy Mordechaja Anielewicza. Było lato roku 1942. W niedalekiej przyszłości Mordechaj zostanie komendantem Żydowskiej Organizacji Bojowej i przywódcą powstania w getcie warszawskim.

„Jego pobyt w okresie czerwiec–wrzesień 1942 r. miał przełomowe znaczenie dla historii żydowskiego ruchu oporu w Zagłębiu" – piszą autorzy pracy „Nie damy się wysiedlić. Bojowniczki i bojowcy żydowskiego ruchu oporu w Będzinie i Sosnowcu".

Swego rodzaju opiekunem i przewodnikiem Mordechaja w Zagłębiu Dąbrowskim był Szmuel Rozencwajg, który w roku 1951 zmienił nazwisko na Szmuel Ron. W rozmowie z dziennikarką Anką Grupińską („Ciągle po kole. Rozmowy z żołnierzami getta warszawskiego") Rozencwajg tak wspominał tamten czas:

„Z Mordechajem byłem bardzo często sam na sam. Ja się musiałem ukrywać bardziej niż inni i Mordechaj też się musiał ukrywać. [...] Byłem takim jego opiekunem. Miałem parę pięści, znałem dobrze teren, a on był obcy. Wprowadzałem go do gett w Zawierciu, Będzinie i Sosnowcu. Pamiętam, że spędziłem z nim kilka nocy w warsztacie szewskim. Ten warsztat był poza gettem; getto było jeszcze otwarte. To było w Sosnowcu. Tam spaliśmy na jednym łóżku. A w Będzinie ukrywaliśmy się na fermie, wśród uli".

Od niego Anielewicz dostał do czytania książkę Władysława Spasowskiego „Wyzwolenie człowieka". Ów marksistowski filozof zmarł rok wcześniej – 6 lipca 1941 roku popełnił samobójstwo w warszawskim ogrodzie botanicznym. Zażył cyjanek potasu.

„Wyzwolenie człowieka" ukazało się w roku 1933. Autor pisał, jakby antycypując przyszłość, która nastanie w Polsce w 1939 r. pod rządami niemieckiej rasy panów: „całkowicie racjonalne wychowanie młodego pokolenia jest niemożliwe w tym haniebnym ustroju społecznym, w którym głód, chłód, wilgoć, ciasnota i zaduch mieszkań, choroby dziecięce, brud fizyczny i moralny, ciemnota, chamstwo i przesądy wszelkiego rodzaju, najdzikszy terror, wyzysk nieludzki i nędza straszliwa trapią szerokie masy pracujące, wydziedziczone i poniewierane, masy, których życie codzienne i otoczenie socjalne stwarzają zaiste ponurą szkołę dla młodego pokolenia". Książka Spasowskiego była biblią dla Szmuela i innych.

> O FERMIE MÓWIŁO SIĘ JAK O BAZIE, GDZIE MOŻNA BYŁO ODERWAĆ SIĘ OD SMUTNEJ RZECZYWISTOŚCI.

Zaczyna się walka

Mordechaj, mieszkając na fermie, czytał „wśród uli" o wyzwoleniu człowieka.

„To była nasza wizja przyszłości. Tak samo Kotarbiński był dla nas ważny. No, w każdym razie ja dałem Mordechajowi tego Spasowskiego i on go czytał bardzo gorliwie. Myśmy rozmawiali o wielu rzeczach. Ale pamiętam, że była sfera życia Mordechaja, o której nic nie wiedziałem – jego osobiste sprawy. To było tabu. O tym się nie mówiło. Nic, absolutnie nic! Wszyscy go pytali, a on nic nie gadał" – mówił Szmuel Ron w rozmowie z Grupińską.

Ron zapamiętał, że ferma na Środuli dla niego i jego rówieśników była azylem, w którym się śpiewało piosenki i pisało wiersze; gdzie się kochało z dziewczynami i pracowało; gdzie uciekało się od parszywej codzienności, śniło o przyszłości i politykowało.

eprasa.pl 739e5c70ee

Gdy chór miał próbę, to Mordechaj stanął kiedyś przed chórzystami i nimi dyrygował, a oni śpiewali piosenki chanukowe, które nijak się miały do tych śpiewanych przez dzieci żydowskie w przedszkolach. „To były pieśni walczące" – wspominał Ron.

O tym, że Mordechaj był oczytany, mówił też Marek Edelman w słynnej rozmowie z Hanną Krall:

„[...] zdolny chłopak, oczytany, pełen wigoru. Przed wojną mieszkał na Solcu. Jego matka sprzedawała ryby, jak zostawały, to kazała mu kupować czerwoną farbę i farbować skrzela, żeby wyglądały jak świeże. Był stale głodny. Kiedy przyjechał z Zagłębia do nas i daliśmy mu jeść, zasłaniał talerz ręką, żeby mu nie zabrano".

Ta historia z podrasowaniem nieświeżych ryb wywołała oburzenie wśród niektórych czytelników „Zdążyć przed Panem Bogiem", no bo jak to tak: Edelman odarł bohatera z wielkości. A przecież to jeszcze bardziej robiło Mordechaja Anielewicza zwykłym a zarazem niezwykłym człowiekiem w strasznych czasach. „Mordechaj był odważny, nie dlatego że chciał być odważny, ale dlatego że miał tę odwagę we krwi" – pisała o nim w swym dzienniku Chajka Klinger, jedna z zagłębiowskich bojowniczek.

Mordechaj Anielewicz powiedział swoim rówieśnikom z Zagłębia, że skończyła się zabawa w konspirację, a zaczyna walka.

Anielewicz uświadomił ludziom z zagłębiowskich organizacji młodzieżowych, że Niemcy niszczą ich naród, a jedyną słuszną odpowiedzią na to jest przeciwstawienie się im – najlepiej z bronią w ręku. Mówił też o tym, co dzieje się na świecie, o tym, że młodzież żydowska nie może stać z boku i spokojnie przyglądać się, jak ich mordują.

Po tym, co młodzi Polacy żydowskiego pochodzenia usłyszeli od Mordechaja, ich sytuacja zmieniła się radykalnie, „a wraz z nią nasze zadania. Musimy przygotować się do nowych warunków. Musimy wyciągać wnioski i działać odpowiednio. Nam grozi zagłada. To jest problem, z którym musimy się zmierzyć. Z wielu gett wywożą ludzi w bydlęcych wagonach. Wywożą starych, chorych, dzieci. Nie wiozą ich do obozów pracy. Wywożą ich do obozów zagłady" – wspominała Irka Puterman.

Fela Katz mówiła wprost, że to Mordechaj zorganizował pracę konspiracyjną z ramienia ŻOB. Ludzie zaczęli zbierać broń, na razie bardzo prymitywną, jak noże, tasaki, siekiery... Z czasem będą to pistolety, większość z nich przywiozą do Zagłębia odważne dziewczyny z organizacji.

– Wyrobiono nastawienie, że każdy winien stawić opór. O ile przyjdą po niego, nie powinien zachować się biernie. Było zasadą – nie stawiać się na Arbeitseinsatz, pracować w szopie tylko po to, żeby się kryć tą pracą i być na miejscu, jeśli nie było innego wyjścia – relacjonowała Fela Katz.

Fot. M. Żegliński

Fragment płaskorzeźby z pomnika Bohaterów Getta w Warszawie

Czas przełomu

Anielewicz miał jeszcze jedną misję, gdy był w Zagłębiu... Spotkał się z Mojżeszem Merinem. W Warszawie krążyły legendy, że sosnowiecki „król" może przekupić Gestapo, co umożliwi wyjazd z okupowanego kraju. Według Szmuela Rona, „Mordechaj chciał wyjechać za granicę, by wezwać przywódców świata do protestu. Ale on w trakcie pobytu zaniechał tego pomysłu".

Mordechaj z pewnością powiedział Merinowi, co się dzieje z Żydami w Generalnej Guberni, że Niemcy rozkręcają machinę masowych zbrodni. Anielewicz zdradził również „królowi", że w jego monarchii jest ruch oporu, a to nie była dobra wiadomość dla Merina.

– Ty się musisz liczyć z nami – usłyszał przedwojenny hochsztapler od przedwojennego malarza rybich skrzeli.

„On miał w sobie coś więcej niż charyzmę, to była niezwykła siła. Miał wielki wpływ na ludzi. Nie wiem, czy Mordechaj miał inne kontakty z Judenratem. Wiem jedynie o tych

eprasa.pl 739e5c70ee

z Merinem w sprawie wyjazdu. Mordechaj zrezygnował ze współpracy z Mońkiem Merinem, kiedy się okazało, że jego możliwości to jedna z tych legend. Poza tym nie ufał specjalnie Merinowi. Brał pod uwagę to, że wiedząc za dużo, Merin może zdradzić" – mówił Szmuel Ron w książce „Ciągle po kole".

Anielewicz przyczynił się do tego, że w Zagłębiu zaczęła ukazywać się żydowska „bibuła". Gazeta miała tytuł „Przełom", co nie było przypadkiem. Tytuł nawiązywał do tego, że młodzi żydowscy Polacy przebudzili się z letargu i zaczęli przygotowania do walki z okupantem. Po drugie, „ze stanu faktycznej uległości wobec polityki centrali Judenratów i jej prowodyra Merina młodzież przeszła do bezkompromisowej walki z Judenratami" – pisał Albert Nirensztain w pracy „Ruch oporu Żydów w Zagłębiu Dąbrowskim pod okupację hitlerowską".

Ukazały się tylko dwa numery „Przełomu". Teksty były pisane po polsku na maszynie, a następnie strona była powielana na hektografie. Kolportowano ją wśród zaufanych ludzi w Sosnowcu i Będzinie.

– W pierwszym numerze były zamieszczone również artykuły Anielewicza. Myślą przewodnią gazetki było uświadomienie, że wysiedlenie nie prowadzi do dalszego etapu życia, tylko jest zagładą. Należy zrobić przełom w dotychczasowym nastawieniu ludności żydowskiej i zorganizować się w celu stawienia oporu – relacjonowała Fela Katz.

Wysiedlenie i wyjazd

Mieszkańcy „królestwa" mieli stawić się 12 sierpnia 1942 roku na punkty zborne, gdzie miał „odbyć się przegląd i stemplowanie dokumentów". W istocie była to selekcja do Auschwitz.

Odpowiedzią na zarządzenia żydowskich urzędników były ulotki młodych konspiratorów, którzy nawoływali do niestawiania się w punktach zbornych. Na wieść o nich Merin nie krył oburzenia:

– Szaleńcza młodzież sprowadzi na nas zagładę, przybliżą koniec, który ja staram się oddalić... Jeśli ulotki te dostaną się do rąk Niemców, zapłacimy wysoką cenę. Czyżbyście wierzyli lekkomyślnym i nieodpowiedzialnym ludziom? Dzięki moim wysiłkom jesteśmy tu jeszcze wszyscy razem, gdzie obecnie jesteśmy.

W noc poprzedzającą wysiedlenie odbyło się spotkanie członków organizacji młodzieżowych z Mordechajem Anielewiczem.

„W zebraniu brał udział Anielewicz wzywający do bojkotu, ale reprezentanci ugrupowań młodzieżowych doskonale zdawali sobie sprawę, że miejscowa ludność żydowska stawi się, a jeżeli oni sami nie przyjdą, to nie tylko oni mogą być aresztowani, lecz także ich rodziny. W ten sposób, mimo wielu wahań i przekonywań Anielewicza, podjęli oni decyzję o stawieniu się w wyznaczonym punkcie wraz z rodzinami" – pisze historyk Avihu Ronen w książce „Skazana na życie. Dzienniki i życie Chajki Klinger".

ANIELEWICZ PRZYCZYNIŁ SIĘ DO TEGO, ŻE W ZAGŁĘBIU ZACZĘŁA UKAZYWAĆ SIĘ ŻYDOWSKA „BIBUŁA". GAZETA MIAŁA TYTUŁ „PRZEŁOM".

Mordechaj Anielewicz był świadkiem wysiedleń w roku 1942. W najgorszym okresie schronił się w mieszkaniu Ady Neufeld z organizacji Ha-Szomer Ha-Cair w Będzinie. Mordechaj jednak w końcu wyszedł ze swojej kryjówki. Chajka Klinger tak zapamiętała go z tamtych dni, kiedy „wysiedlano" Będzin: „Był wszystkiego tak niezmiernie ciekawy. Na ulicy zbiegowisko, koło punktów wysiedleńczych Niemcy krzyczą, nahajką gonią, strzelają, niosą trupa. Wszyscy uciekają, a Mordechaj idzie wprost w przeciwnym kierunku, tam, gdzie Niemcy, on ciekaw wszystkiego".

W sierpniu, po tym, co zobaczył Mordechaj w Zagłębiu, jego pewność co do tego, że jedyną obroną powinien być atak, a nie bierne przyglądanie się oprawcom, zapewne się wzmocniła. Właśnie w tym miesiącu na farmie odbyło się całonocne spotkanie konspiratorów z organizacji młodzieżowych.

Anielewicz przemawiał przez dwie godziny. Zaczął od tego, co dzieje się w Warszawie, Białymstoku i Wilnie. Mówił o tamtejszych żydowskich konspiratorach, o oporze w Wilnie, o partyzantce.

We wrześniu Anielewicz otrzymał list z Warszawy o śmierci Josefa Kapłana, przywódcy organizacji w Warszawie. Po jego przeczytaniu powiedział:

– Josef zginął... Był dla mnie nauczycielem, przyjacielem, kolegą, wszystkim. Nie wiem sam, co teraz pocznę bez niego.

Gestapo aresztowało Josefa 3 września 1942 roku. Wyrok wykonano na nim 11 września.

Zanim Mordechaj wyjechał w połowie września, powiedział Chajce Klinger:

– Należy wyrównać rachunki ze zdrajcami żydowskimi.

O kim mówił? Najpewniej o „królu" Merinie i jego świcie.

Tym, który miał dokonać zamachu na Merina, był Cwi Duński i dwóch kolegów. „Zamierzali zabić go żelaznymi rękawicami i kwasem solnym. Bojowcy żydowscy czekali cierpliwie w bramie domu przez kilka godzin, ale Merin nadszedł wreszcie nie sam, ale otoczony świtą 20 policjantów. Planowany zamach spalił na panewce. Dyktator sosnowiecki wyszedł cało" – pisał Albert Nirenstein.

eprasa.pl 739e5c70ee

Religia

Sacrum WŁADZY

– Kiedy politycy ponownie odkryją, że religia jest immanentną częścią polityki i wcale nieprzypadkową – a prędzej czy później odkryją – to nie wyobrażam sobie, żeby władza całkowicie zsekularyzowana była w stanie funkcjonować. Spójrzmy na USA – to społeczeństwo na wskroś religijne, ale czy uważamy, że zacofane? – mówi prof. **Łukasz Młyńczyk**, w rozmowie z **Jakubem Pacanem**.

Fot. M. Żegliński

– Sekularyzacja dokonuje się u nas w tempie galopującym, trwa radosne rozstawanie się z Kościołem. Religia faktycznie za jakiś czas przestanie być ważna?

– Dzisiaj radykalną sekularyzacją „doganiamy" Zachód, ale religia od chrztu Polski przez cały okres dziejów miała fundamentalne znaczenie dla naszej polityczności. UE składa się wyłącznie z państw chrześcijańskich. Wszędzie były chadecje i to one w sposób zasadniczy stały się twórcami Wspólnot Europejskich. Tej rzeczywistości w żaden sposób nie da się zatrzeć czy

eprasa.pl 739e5c70ee

podważyć i nawet współcześni chadecy mający z religią niewiele wspólnego nigdy jej nie zarzucili, wciąż poruszają się w pewnym systemie wartości wyrosłych wprost z chrześcijaństwa. Oni te wartości przedefiniowali, ale one funkcjonują. Człowiek z natury rzeczy jest istotą wartościującą. To nas odróżnia od zwierząt, że odnosimy się do absolutu, do sfery aksjologii, którą chcemy reprezentować i która przejawia się w instytucjach politycznych. Katolicyzm stracił w sensie politycznym, ale ludzie Zachodu nie zrezygnowali z najważniejszych wartości, oni je transformują.

– Jak w Polsce treści religijne transformują się na treści polityczne?

– Carl Schmitt swoją koncepcją teologii politycznej doszedł do słusznego wniosku, że wszystkie pojęcia polityczne to zlaicyzowane pojęcia religijne. One nadal współcześnie funkcjonują, weźmy kwestie ostateczne, czyli sądu ostatecznego i popularny pogląd zagłady ekologicznej. Niezależnie od badań naukowych ludzie traktują ekologizm jako wyznanie wiary i pewnych wartości, w które chcą wierzyć. Treści apokaliptyczne zostały wprzęgnięte w pojęcia świeckie. Władzy i rządzącym także nadaje się atrybuty ze świata religii.

– Propaganda Bitwy Warszawskiej była np. czystym egzorcyzmem. Bolszewicy na plakatach byli przedstawiani jako diabły.

– Tak, to było definiowane jako walka metafizyczna sił dobra, obrona wiary, ze złym, szatańskim, bezbożnym bolszewizmem.

– Liberalna demokracja jest wyznaniem wiary?

– Paradygmat liberalny jest traktowany jako metaideologia, czyli taka, która ma pod sobą wszystkie inne ideologie. Liberalna demokracja to też wiara mająca wyznawców, dogmaty, „świętych”.

– Strona postępowa walczy z „przesądami” religijnymi, angażując całą swoją wiarę i zapał iście religijny w pooświeceniowe przesądy, tyle że one nie wytrzymały próby czasu.

– Każdy system jest omylny. Zastąpienie wiary w Boga wiarą w wiedzę też przyniosło pewne rozczarowanie. Mrzonki stworzenia teorii wszystkiego wciąż się pojawiają. Nasza wiedza jest na takim poziomie, że musi się odwoływać do pewnych wartości absolutnych i wiary, dlatego że pewne kwestie są niewytłumaczalne i w dalszym ciągu brane na wiarę. Życie człowieka składa się z różnych przesądów, choćby z tego powodu, że nie zawsze potrafi wytłumaczyć sobie racjonalnie tego, co go spotkało lub spotyka.

– Samemu społeczeństwu potrzebne są pewne dogmaty, tabu, sacrum i profanum.

– Tak, przez długi czas tak rozumowaliśmy i nadal rozumujemy. Napisałem w książce „Między kreatywnością a próżnowaniem. Polityczność dwóch typów idealnych”, że hipotetycznie każdy z nas chciałby być rentierem, czyli nie pracować i żyć z dochodu pasywnego, ale to nie do końca rozwija. Celem życia jest twórczość, człowiek dąży do tego, by być ciągle docenianym i paradoksalnie dopiero na poziomie politycznym ludzie zaczynaj rozumieć, że tam się mieści największa sprawczość. To analogiczna kariera do karier duchownych w religii. Monopol na prawdę w Kościele katolickim mają duchowni, podobnie politycy chcą mieć monopol na interpretowanie ideologii. To przeniesienie 1:1.

– Jak rozdarcie metafizyczne, w którym żyjemy, wpływa na naszą kulturę polityczną?

– Mimo że procesy sekularyzacyjne są widoczne gołym okiem, to podam przykład z ostatnich Świąt Wielkanocnych. Moi studenci mówili, że brakuje im refleksji metafizycznej w czasie tych świąt, o Wielkim Piątku, rozmów o sensie życia, umierania, a przecież rozmawialiśmy w liberalnej stolicy z młodym pokoleniem.

– Głód wartości absolutnych?

– Tak, i to niezależnie, czy dana osoba jest wierząca czy nie. Można być osobą wierzącą, ale i można być osobą niereligijną i mieć potrzebę wchodzenia w przestrzeń sacrum. Tak czy inaczej zachowujemy pewien kanon wartości, które są pochodną religii chrześcijańskiej. Chrześcijaństwo to była zbyt długa socjalizacja, by można ją było łatwo odrzucić. Nawet zachodnia chadecja postrzegana jako bardzo lewicowa ma w sobie niezatarte ślady całego

TAK ZWANE NOWOCZESNE WARTOŚCI EUROPEJSKIE SĄ RZECZYWIŚCIE STRUMIENIOWO W POLSCE INSTALOWANE I PRAWDOPODOBNIE WIELE Z NICH ODPADNIE Z POWODU ZBYT SZYBKIEGO TEMPA, W JAKIM SĄ NARZUCANE.

eprasa.pl 739e5c70ee

dziedzictwa katolickiej myśli politycznej. My prawdopodobnie dojdziemy do momentu, w którym stwierdzimy, że czas jest cykliczny, będziemy chcieli wrócić do czegoś, co było.

– Bo nie nadążamy z legitymizacją tego, co nowe. Zamiana treści ideowych następuje w Polsce tak szybko, że dostajemy zadyszki w ich przyswajaniu.

– Tak zwane nowoczesne wartości europejskie są rzeczywiście strumieniowo w Polsce instalowane i prawdopodobnie wiele z nich odpadnie z powodu zbyt szybkiego tempa, w jakim są narzucane. My nie mamy czasu na refleksję, zastanowienie się, czy rzeczywiście tego chcemy, tylko trochę ślepo naśladujemy różne wzorce, a jednocześnie pamiętamy, że mamy pierwotną tożsamość. To się w nas gryzie. Tożsamość to fundamentalna kwestia w naszym społeczeństwie. Pokazują to ostatnie wybory samorządowe – okazało się, że nominalnie społeczeństwo w ogóle nie potrzebuje lewicy. Ostatnio kontrowersyjnie składałem studentom na Uniwersytecie Warszawskim „życzenia z okazji wakacji wiosennych", bo w kalendarzu akademickim tak określona jest Wielkanoc. Oni się na to oburzali, stwierdzali, że nie ma nic niestosownego, by życzyć komuś „Wesołych Świąt". Owszem, wartość religijna w znacznym stopniu została zatracona, ale te święta są fundamentalne dla naszej kultury. Wielu ludzi wcale nie rezygnuje z tej obrzędowości w wymiarze kulturowym.

– To często nieświadome przeniesienie głodu sacrum i świętości do sfery politycznej.

– Oczywiście. To siłą rzeczy w ten sposób się objawia. Religia nauczyła nas pewnej świadomości i percepcji świata. Nawet w często pokazywanej u nas zsekularyzowanej Szwecji ludzie na poziomie jednostkowym żyją według reguł protestantyzmu.

NIE SZTUKĄ JEST COŚ WYELIMINOWAĆ, JEŚLI PAŃSTWO ZACZNIE LUDZIOM ODBIERAĆ SACRUM, TO ONI NA WŁASNĄ RĘKĘ I TAK ZACZNĄ SZUKAĆ CZEGOŚ, NAD CZYM POLITYCY NIE BĘDĄ W STANIE ZAPANOWAĆ.

– No i skręcający w lewo liberał Donald Tusk w swojej radości z wnuczków jest bardzo konserwatywny.

– Rodzina to jeden z fundamentalnych ustrojów. Proszę zobaczyć kolejny trend, związki homoseksualne chcące błogosławieństwa Kościoła. Abstrahując od bojów ideologicznych z tym związanych, wiele osób homoseksualnych to osoby wierzące, dla których instytucja Kościoła jest ważna. Ba, niektóre pary homoseksualne wyrosłe z tradycji katolickiej chciałyby zapewne ceremonii kościelnej ze względów kulturowych.

– Czy za dechrystianizacją nie idzie budowanie parakultu religijnego?

– Idzie, ale to bardziej efekt niż cel. Bardzo nowoczesne prądy myślowe nie chcą być dzisiaj krytykowane i właśnie dlatego powołują się na jakiś wymiar absolutu, bo coś jest niekwestionowane, coś staje się świeckim dogmatem, bo ma rangę wartości obiektywnej, której nikt nie może podważać, i wszystkim nakazuje się w niego wierzyć. Ale najbardziej potrzebują tego politycy, ponieważ każda sfera wartości materializuje się na poziomie politycznym. Dopiero gdy tam się znajdzie, zaczyna mieć znaczenie.

– Może „Sakralizacja jest najskuteczniejszą metodą rozstrzygnięcia konfliktu wartości" – jak pisze prof. Stanisław Filipowicz.

– Tak, można zgodzić się z prof. Filipowiczem. Odwoływanie się do absolutyzacji w konflikcie politycznym jest zamknięciem dyskusji. Pisałem kiedyś o 44. miesięcznicy smoleńskiej, gdzie dowodziłem, że z punktu widzenia liberalizmu politycznego nastąpiła intencjonalna sakralizacja tego wydarzenia.

– „Stanowisko ośrodków w UE nie reprezentuje wolności, lecz jedynie równość. W efekcie redukuje się potrzeby wszystkich do wspólnego ich natężenia, a więc odbiera się prawo do zarządzania własną wolnością jako nadrzędnym, jednostkowym dobrem" – pisze Pan w „Polityzacji i polityczności współczesnej narracji religijnej". To równanie w dół w wolności religijnej.

– Niestety, tak to obecnie wygląda. Wolność jest fundamentalna dla religii. W UE nie chodzi o to, że wszyscy mają jednakowy dostęp do wyrażania swojej religijności. Prawa co do afirmowania swoich przekonań religijnych w UE są narzucane odgórnie. Tymczasem wolność jest prawem do ekspresji potencjałów. Poziom afirmacji dla wierzących, niewierzących, lewicowców, prawicowców powinien być taki sam, a nie jest. Przedstawiciele lewicy mówią, że zadbają o rozdział Kościoła od państwa, tylko o czym my dzisiaj mówimy? Kościół słabnie w oczach.

– We Francji środowiska radykalne nadal twierdzą, że Kościół ma zbyt duże wpływy.

eprasa.pl 739e5c70ee

– To dobry przykład tego błędnego myślenia.

– Wolność negatywna „od" m.in. religii, którą proponuje strona laicko-postępowa, na dłuższą metę nie wytrzymuje krytyki. Ludzie potrzebują absolutu.

– Oczywiście, kilka lat temu wprowadzono w Bawarii nakaz wieszania krzyży w instytucjach publicznych. To było konkretne zapotrzebowanie polityczne, które pokazywało ogromną potrzebę przywracania pierwotnej tożsamości. Multi-kulti na tyle rozwodniło rdzennych Europejczyków, że w kontaktach z innymi silnymi tożsamościami, np. islamem, czują się osamotnieni, bezradni. Stąd chęć powrotu do własnych tradycji. Ja stosuję często takie porównanie, że współcześni Europejczycy to są weganie i wegetarianie, a ci, którzy napływają, są mięsożerni. Weganie i wegetarianie są do siebie bardzo podobni, ale mimo to wchodzą ze sobą w spór, a napływający mięsożercy będą z nimi walczyć o tę samą przestrzeń publiczną. Z perspektywy nawet słabnącego Kościoła w Europie to te wartości są konkurencyjne dla polityków strony przeciwnej, mają moc integrowania. Wartości z kultury islamskiej są nam całkowicie obce.

– Konflikty polityczne są często przeżywane jako religijne, podział na dobro i zło, sacrum i profanum. Bipolarny spór między PiS i PO też ma taki charakter.

– Bez dwóch zdań tak się dzieje. Ale weźmy przykład granicy z Białorusią. Donald Tusk i jego ugrupowanie mówili przed wyborami o humanitaryzmie dla uchodźców. Teraz jako premier zapewnia o większym zabezpieczeniu granicy, bo to chroni naszą cywilizację, i nikt ze strony liberalnej nie podważa jego słów. Donald Tusk legitymizuje ochroną granicy pewne fundamentalne wartości naszej cywilizacji. Białoruś z jej niedemokratycznym reżimem jest tutaj realną antytezą.

– Czy opór stawiany wolności religijnej w Europie będzie coraz większy?

– Trudne pytanie. Do pewnego momentu będzie to dość radykalne stanowisko hamujące wolność religijną, ponieważ każdy ośrodek, który jest w stanie polityzować pewne wartości, jest zagrożeniem i konkurencją dla ideologii panujących i dla władzy. Kościół jest wciąż aktywny, a religia chrześcijańska ma ciągle ukryty poziom absorpcyjny, który niekoniecznie musi oznaczać chodzenie do Kościoła, jednak znajduje nieustannie zwolenników także w zeświecczonej Europie. To w dłuższej perspektywie może nawet doprowadzić do wojny religijnej wyznawców jednego porządku z drugim.

– Unia zacznie reglamentować wolność religijną?

– Myślę, że nie, że to niemożliwe. Każdy, kto zwiedza Europę Zachodnią, dotrze do stolic i położonych nad rzekami starówek, gdzie są budowle sakralne.

– Jakie będą nowe zsekularyzowane legitymizacje polityczne w Polsce?

– Podstawowym elementem legitymizacji władzy będzie akceptowanie szeroko rozumianych praw człowieka. Oczywiście Kościół czy religie dzisiaj są wyrazicielami określonych wartości, które z punktu widzenia laickiego są definiowane jako sprzeczne z tym, co nowoczesne. Kiedy politycy ponownie odkryją, że tak naprawdę religia jest immanentną częścią polityki i wcale nieprzypadkową – a prędzej czy później odkryją – to nie wyobrażam sobie, żeby władza całkowicie zsekularyzowana była w stanie funkcjonować. Spójrzmy na USA, to społeczeństwo na wskroś religijne, ale czy uważamy, że zacofane? Nie sztuką jest coś wyeliminować, jeśli państwo zacznie ludziom odbierać sacrum, to oni na własną rękę i tak zaczną szukać czegoś, nad czym politycy nie będą w stanie zapanować.

– A czy jest możliwa emancypacja wspólnot religijnych, sfery kościelnej od norm instytucji świeckich, które są coraz bardziej agresywnie laickie?

MULTI-KULTI NA TYLE ROZWODNIŁO RDZENNYCH EUROPEJCZYKÓW, ŻE W KONTAKTACH Z INNYMI SILNYMI TOŻSAMOŚCIAMI, NP. ISLAMEM, CZUJĄ SIĘ BEZRADNI. STĄD CHĘĆ POWROTU DO WŁASNYCH TRADYCJI.

– Procesy desekularyzacyjne będą się pojawiały, najpierw na niewielką skalę, przy czym mogą to być motywacje ściśle religijne, jak i polityczne. Ludzie będą szukali czegoś, co będzie dla nich zapleczem ideologicznym, bo religię można traktować również w ten sposób.

Prof. Łukasz Młyńczyk – pracownik naukowo-dydaktyczny Wydziału Nauk Politycznych i Studiów Międzynarodowych Uniwersytetu Warszawskiego, w latach 2014–2018 zastępca dyrektora Instytutu Politologii Uniwersytetu Zielonogórskiego.

eprasa.pl 739e5c70ee

PRENUMERATA 2024

ZMIANY DOTYCZĄCE PRENYMERATY „TYGODNIKA SOLIDARNOŚĆ”

Zapraszamy do **zamawiania prenumeraty** „Tygodnika Solidarność”. Można to zrobić poprzez kolporterów, takich jak: **Kolporter sp. z o.o.**, **Garmond Press SA**, poprzez **Pocztę Polską**, a także w **redakcji „Tygodnika”**.

Prenumerata redakcyjna wysyłana jest za pośrednictwem Poczty Polskiej na wskazany adres (prenumerator **nie ponosi kosztów przesyłki**).

„Tygodnik Solidarność” jest w stałej sprzedaży w salonikach prasowych Kolporter sp. z o.o., Garmond Press SA, sieci Empik oraz wybranych placówkach pocztowych.

Cena okładkowa „Tygodnika Solidarność” w 2024 roku wyniesie **8,50 zł.**

Cena w prenumeracie egzemplarzowej „Tygodnika Solidarność” w 2024 roku **wynosi tylko** ..... **7,50 zł**

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ W WERSJI PAPIEROWEJ ORAZ ELEKTRONICZNEJ NA 2024 ROK

I KWARTAŁ	**97,50 zł***	(NUMERY 1–13)
II KWARTAŁ	**97,50 zł**	(NUMERY 14–26)
I PÓŁROCZE	**195,00 zł**	(NUMERY 1–26)
III KWARTAŁ	**97,50 zł**	(NUMERY 27–39)
IV KWARTAŁ	**97,50 zł**	(NUMERY 40–53)
II PÓŁROCZE	**195,00 zł**	(NUMERY 27–53)
ROK	**390 zł**	(NUMERY 1–53)

* wszystkie ceny podane są w kwocie brutto

eprasa.pl 739e5c70ee

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Tadeusz Płużański

Nikt nie pyta: po co świętować klęskę?

Powstanie w getcie warszawskim było pierwszym w okupowanej przez Niemców Europie zbrojnym zrywem przeciw okupantowi. To była walka Żydów o godność, aby nie umierać z rąk niemieckich oprawców w obozach Auschwitz czy Treblince.

Rankiem 19 kwietnia 1943 r., w przededniu żydowskiego święta Pesach, wkraczające do getta niemieckie oddziały SS powitał ogień bojowników. Całkowicie zaskoczeni Niemcy ponieśli straty i się wycofali. Najcięższe walki toczyły się w okolicy ul. Muranowskiej, gdzie pod numerem 7 mieściła się kwatera dowództwa Żydowskiego Związku Wojskowego, głównej – obok lewicowej Żydowskiej Organizacji Bojowej – siły zbrojnej w warszawskim getcie. Tam, nad dachem jednej z kamienic, żołnierze ŻZW zawiesili flagi polską i żydowską – symbole wspólnej walki przeciw Niemcom. Biało-czerwona flaga znalazła się obok biało-niebieskiej flagi ŻZW – bojowców wyszkolonych przez radykalną żydowską organizację młodzieżową Betar. Betar miał wsparcie II RP, aby Żydzi mogli drogą zbrojną wywalczyć swoje państwo w Palestynie. Wielu z nich, oficerów i podoficerów Wojska Polskiego, broniło wcześniej swojej ojczyzny, Rzeczpospolitej we wrześniu 1939 r.

Do warszawskiego getta Polacy przerzucali broń, żywność, leki. Na aryjską stronę wyprowadzali całe rodziny, którym zapewniano nową tożsamość, pomoc i schronienie – tak robiła najsłynniejsza z ratujących Irena Sendlerowa. To był wielki łańcuch ludzi dobrej woli, których działania organizowała i koordynowała „Żegota", jedyna podziemna instytucja państwowa w całej okupowanej przez Niemców Europie, której celem było ocalenie Żydów przed Zagładą. Siła zbrojna Polskiego Państwa Podziemnego – Armia Krajowa – wielokrotnie atakowała niemieckie posterunki przy murze getta, próbowała wysadzić mur i zabijała broniących go esesmanów. Mimo apelów rządu polskiego alianci nie pomogli powstańcom. 12 maja 1943 r. w proteście przeciwko bierności Zachodu wobec zagłady narodu żydowskiego członek Rady Narodowej RP w Londynie Szmul Zygielbojm popełnił samobójstwo.

Cieszę się, że nikt 19 kwietnia nie roztrząsa, czy powstanie w getcie było potrzebne, czy musiało wybuchnąć. Odpowiedzi są bowiem twierdzące. Nikt nie rozważa, czy bilans strat przewyższa ewentualne zyski. Nie ma pytań w stylu: Czy warto było – w imię również politycznych założeń – poświęcić tylu niewinnych cywilów i doprowadzić do całkowitego zniszczenia całych kwartałów miasta, w tym pięknej synagogi na Tłomackiem? Takich pytań szczęśliwie nie ma, bo one zakłócałyby ideę tego zrywu i pamięć poległych.

Nikt nie pyta również: Po co świętować klęskę? Przecież powstanie w getcie z góry było skazane na porażkę. A poza tym nie dość już tej martyrologii, cierpiętnictwa? To odległe sprawy, ważne najwyżej dla historyków. Patrzmy w przyszłość! Przecież nikt rozsądny wobec powstania w getcie nie zadaje takich pytań, nie stawia takich tez.

Inaczej jest w przypadku Powstania Warszawskiego 1944, które co roku jest obrzucane gradem pytań, paszkwili lub po prostu zwykłym błotem. Powstańcy żydowscy mają szczęście. Ich się nie wyśmiewa, nie opluwa, nie podważa się zasadności ich walki.

eprasa.pl 739e5c70ee

CO W ZWIĄZKU

NSZZ Solidarność

MARCIN KRZESZOWIEC

RUSZA 17. EDYCJA Pracodawcy Przyjaznego Pracownikom

Prezydium Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność” zdecydowało o rozpoczęciu XVII edycji konkursu Pracodawca Przyjazny Pracownikom, który co roku odbywa się pod patronatem honorowym prezydenta RP Andrzeja Dudy.

Jego celem jest promowanie pracodawców, którzy wyróżniają się w stosowaniu dobrych praktyk w zakresie przestrzegania przepisów prawa pracy, w szczególności poprzez stabilność zatrudnienia, przestrzeganie zasad bezpieczeństwa i higieny pracy oraz prawa do zrzeszania się w związki zawodowe.

Fot. M. Żegliński

Uczestnicy 16. edycji konkursu Pracodawca Przyjazny Pracownikom; 2021 r.

Kandydatów mogą zgłaszać podstawowe jednostki organizacyjne Solidarności.

Wyróżnione w konkursie firmy otrzymują trzyletni certyfikat potwierdzający ich poszanowanie dla praw pracowniczych oraz właściwego dialogu społecznego. Laureaci poprzednich edycji mogą ponownie ubiegać się o przyznanie certyfikatu po wygaśnięciu wspomnianego wyżej okresu.

Ankiety zgłoszeniowe należy przesłać do 30 września 2024 roku. W ostatniej edycji certyfikat PPP za 2023 rok przyznano 18 firmom.

WYBRALI SOLIDARNOŚĆ

Już ponad połowa pracowników Powiatowego Urzędu Pracy w Zawierciu zapisała się do Solidarności. Organizacja związkowa powstała w urzędzie niespełna dwa miesiące temu, a do zapisania się do Związku zachęciła pracowników akcja promocyjna śląsko-dąbrowskich struktur Solidarności.

Na przełomie stycznia i lutego br. związkowcy z Regionu Śląsko-Dąbrowskiego odwiedzili kilkanaście urzędów pracy, zachęcając pracowników do wstępowania w szeregi największego związku zawodowego w Polsce, którym jest NSZZ „Solidarność”. Poza omówieniem oczywistych korzyści wynikających z przynależności związkowej delegacje składały życzenia pracownikom z okazji Dnia Pracownika Publicznych Służb Zatrudnienia, dziękując im za ich codzienną pracę.

– Już kilka lat temu myśleliśmy o założeniu związku, ale wtedy tego pomysłu nie sfinalizowaliśmy. Wizyta związkowców z Solidarności ponownie nas zmobilizowała do działania – stwierdziła Aleksandra Prudło, szefowa Solidarności w PUP w Zawierciu.

Pracownicy zawierciańskiego Urzędu jako priorytet dla swoich działań uznali zwiększenie poziomu płac. Nie powinno to nikogo dziwić, skoro zarobki większości osób zatrudnionych w PUP oscylują wokół płacy minimalnej.

– Zorganizowanie się w związku zawodowym otworzyło nam drogę do negocjacji płacowych. Wcześniej tego nie było. Mamy też wreszcie możliwość prowadzenia konsultacji z pracodawcą w innych sprawach pracowniczych, np. w kwestii podziału środków z Zakładowego Funduszu Świadczeń Socjalnych. To też jeden z naszych priorytetów – wskazała przewodnicząca Prudło.

W PUP w Zawierciu zatrudnionych jest 55 pracowników, z czego do Związku należy już 31 osób.

WIDMO STRAJKU

Związkowcy z Solidarności działający w Miejskim Ośrodku Pomocy Społecznej w Jeleniej Górze od września ubiegłego roku prowadzą spór zbiorowy z pracodawcą. Pracownicy żądają podwyżek pensji w wysokości 2 tys. złotych netto. Dotychczasowe rozmowy nie przyniosły porozumienia, dlatego po spisaniu protokołu rozbieżności do akcji wkroczy mediator.

W rozmowie z Radiem Wrocław zastępca przewodniczącego jeleniogórskiej Solidarności Bogusław Wojtas podkreślił, że pracownicy są zdeterminowani do walki o wyższe wynagrodzenia i z pewnością szybko się nie poddadzą, a jeśli mediacje zawiodą, to w placówce może dojść do strajku.

Z kolei przewodnicząca Solidarności w Ośrodku Ewa Olk zwracała uwagę, że wynagrodzenia w jeleniogórskim MOPS są znacznie niższe od tych, które otrzymują pracownicy w ośrodkach pomocy społecznej na Dolnym

eprasa.pl 739e5c70ee

Fot. M. Żegliński

„Politykom Polski 2050 należy zadać pytanie, kto w niedziele miałby pracować w sklepach, bo sami pracodawcy wyliczyli, że obecnie w handlu brakuje 200 tys. pracowników".

Alfred Bujara, przewodniczący Krajowego Sekretariatu Banków, Handlu i Ubezpieczeń NSZZ „Solidarność", Tysol, 4 kwietnia br.

Śląsku. Dodała przy tym, że niektórzy pracownicy, aby godnie żyć, są zmuszeni dorabiać do swoich pensji.

SUKCESY SPORTOWE ZWIĄZKOWCÓW

Dokładnie 241 zawodników wzięło udział w tegorocznych zawodach Pucharu Polski Wojska Polskiego i Służb Mundurowych w Kickboxingu, które odbywały się w dniach 5–7 kwietnia w Sieradzu. W formule K-1 w kategorii 91 kg pierwsze miejsce – po raz kolejny – zdobył mł. asp. Arkadiusz Mruk, przewodniczący Organizacji Oddziałowej NSZZ „Solidarność" w Komendzie Powiatowej Państwowej Straży Pożarnej w Ostrowie Wielkopolskim, gdzie wykonuje pracę ratownika specjalisty. To jednak nie koniec sportowych sukcesów.

Na tych samych zawodach, w formule kick-light w kategorii do 79 kg, zadebiutował inny członek Solidarności Mateusz Cygański, który wywalczył brązowy medal. Mężczyzna na co dzień wykonuje pracę strażnika więziennego w Areszcie Śledczym w Łodzi.

W TROSCE O PAMIĘĆ HISTORYCZNĄ

Międzyzakładowa Komisja Koordynacyjna nr 5 Pracowników Oświaty i Wychowania NSZZ „Solidarność" Regionu Mazowsze zorganizowała 8 kwietnia w Muzeum Historii Polski XX konferencję dla młodzieży pt. „Katyń. 5 marca – Dzień Pamięci". Właśnie tego dnia 1940 roku zapadła decyzja podjęta przez najwyższe władze ZSRR o rozstrzelaniu niemal 22 tysięcy polskich jeńców wojennych. Ofiary zbrodni dokonanej przez sowiecki NKWD pogrzebano w masowych grobach w Piatichatkach, Miednoje, Bykowni i Katyniu pod Smoleńskiem.

Młodzież szkolną w imieniu organizatorów przywitał przewodniczący Regionalnej Sekcji Oświaty i MKK nr 5 Jerzy Smoliński, który wyraził nadzieję, że otrzymana wiedza i idące za nią emocje dadzą młodym ludziom poczucie dumy z tego, że są Polakami, a także więzi z osobami, dla których Honor i Ojczyzna były wartościami nadrzędnymi.

Głos zabrał również przewodniczący mazowieckiej Solidarności Dariusz Paczuski, który przybył na wydarzenie wraz z sekretarzem ZR Maciejem Mechlińskim. Związkowiec podkreślił, że NSZZ „S" zawsze dążył do odkłamywania historii, co było jednym z 21 postulatów Sierpnia '80. Przypomniał też, że w czasach komunizmu temat rosyjskiej agresji na Polskę w czasie II wojny światowej i zbrodni katyńskiej były tematami zakazanymi, o których nie można było nauczać w szkołach.

– To nie jest proste – mówić prawdę, wiedząc, jaka kara może cię spotkać. Dlatego dzisiejsze spotkanie jest dla mnie znakiem tego, że doczekaliśmy się wolnej Polski. Polski, w której możemy mówić o prawdziwej historii. Możemy bez obaw dyskutować, jak było, jak mogło być, jak jest, jak powinno być. I musimy zrobić wszystko, żeby tej wolności słowa już więcej nie utracić. Żeby naród polski i państwo polskie zawsze były wolne – podkreślił.

Prelegentami konferencji byli dwaj historycy: Grzegorz Rutkowski, który przedstawił genezę zbrodni katyńskiej, i Adam Rębacz, który podkreślił konieczność pielęgnowania pamięci o wydarzeniach sprzed 84 lat.

Uczniowie po wysłuchaniu wykładów mogli zapoznać się także z dwoma filmami wyprodukowanymi przez Instytut Pamięci Narodowej: „Katyń. Historia wciąż żywa" oraz „20, 40, 20, czyli od Bitwy Warszawskiej do Katynia".

Wydarzenie zakończyło się programem słowno-muzycznym, który zaprezentowali uczniowie XXVII LO im. Marii Skłodowskiej-Curie w Warszawie.

M.K.

Kalendarium

Solidarności

22.04.1982 – w obliczu zawieszenia działalności NSZZ „Solidarność" na mocy Dekretu o stanie wojennym tworzy się Tymczasowa Komisja Koordynacyjna „S", której zadaniem jest kierowanie pracą podziemnych struktur „S";

17.04.1989 – ponowna rejestracja NSZZ „Solidarność" przez Sąd Wojewódzki w Warszawie następuje po siedmiu latach, czterech miesiącach i czterech dniach od wykreślenia Związku z rejestru;

20–25.04.1990 – w hali „Olivia" w Gdańsku odbywa się II Krajowy Zjazd Delegatów NSZZ „Solidarność". Jego uczestnicy opowiadają się m.in. za ochroną życia poczętego.

eprasa.pl 739e5c70ee

„Służba jest trudna i niewidoczna”

O zapowiedzi zwolnienia 20 tys. więźniów z zakładów karnych, rozszerzeniu dozoru elektronicznego, problemach kadrowych, wyznaczeniu ścieżki rozwoju zawodowego i ucywilnianiu Służby Więziennej mówił przewodniczący Krajowej Sekcji Służby Więziennej NSZZ „Solidarność” **Andrzej Kołodziejski** w rozmowie z **Marcinem Krzeszowcem**.

– Wiceminister sprawiedliwości Maria Ejchart w rozmowie z „Rzeczpospolitą” powiedziała, że polskie więzienia są przeludnione, dlatego jej celem jest zmniejszenie liczby więźniów o 20 tys. w ciągu tej kadencji, a więc czterech lat. Miały już nawet nastąpić pierwsze przedterminowe zwolnienia. Jak Pan ocenia tę decyzję?

– Jeżeli po tej zapowiedzi w ciągu czterech lat udałoby się obniżyć liczbę więźniów z 75 do 55 tysięcy, to generalnie dla Służby Więziennej byłoby to korzystne, bo zmieniłby się stosunek liczby osadzonych do funk-

Fot. M. Żegliński

eprasa.pl 739e5c70ee

cjonariuszy. W tej chwili w Polsce mamy jednego funkcjonariusza, który pracuje bezpośrednio z czterema osadzonymi. Dla porównania w bardziej cywilizowanych krajach jest to dwóch osadzonych na jednego funkcjonariusza. Dlatego jak najbardziej popieramy takie działania. Tym bardziej że obecnie w aresztach śledczych i zakładach karnych przebywa około 20 tysięcy osób, które mają bardzo krótkie wyroki i jeśli spełniają one przesłanki, to może warto zmienić im karę na dozór elektroniczny.

– Rozszerzenie dozoru elektronicznego to lepsze rozwiązanie niż „wsadzenie do ciupy"?

– W niektórych przypadkach jak najbardziej. Osoba, która popełniła przestępstwo, może odpokutować również przez to, że ma założoną tzw. obrożę. Tacy ludzie mogą normalnie chodzić do pracy, zajmować się rodziną i nie muszą od razu lądować w więzieniu. Więzienie to najbardziej ekstremalny środek ograniczenia wolności.

– Minister Ejchart potwierdziła również, że zlikwidowano już wszystkie z 580 cel, w których przebywało powyżej 10 osadzonych. Słyszał Pan skargi ze strony więźniów na niehumanitarne traktowanie z powodu osadzania ich w takich wieloosobowych celach?

– Na takie duże cele generalnie mówiło się, że są to „stodoły". One istniały głównie z powodów architektonicznych, a nie dlatego że dyrektorzy chcieli je mieć w swoich jednostkach. Pojemność zakładu karnego jest ustalana w zarządzeniach wydawanych przez Ministerstwo Sprawiedliwości i jeśli dyrektor zakładu miał w nim zmieścić określoną liczbę więźniów, to musiał to bezdyskusyjnie wykonać. Te cele nie zostały teraz zmniejszone, tylko po prostu część więźniów została rozwieziona do innych zakładów. To też jest dobra rzecz na przykład dla oddziałowego, który prowadzi kontrole w celach. Generalnie prowadzenie jakichkolwiek działań resocjalizacyjnych w celi, która liczy 12 czy 18 łóżek, jest słabe. Zdecydowanie lepiej pracuje się funkcjonariuszom czy wychowawcom w miejscach, gdzie jest mniejsze skupisko osadzonych.

– Nowy dyrektor generalny Służby Więziennej płk Andrzej Pecka w wywiadzie dla portalu InfoSecurity24.pl powiedział, że w tej chwili w SW jest 1802 wakatów. „Nie odczuwamy wyraźnych braków. Sytuacja kadrowa jest ustabilizowana na takim poziomie, który zabezpiecza wykonywanie obowiązków służbowych" – ocenił. Zgadza się Pan z taką opinią? Nie ma w tej chwili tragedii z zatrudnieniem?

– Nie podpiszę się pod tym stwierdzeniem. Uważam, że co do zasady wakaty nie powinny występować. Gdyby uzupełnić te brakujące 1800 stanowisk, to przykładowo przy stu zakładach karnych mielibyśmy dodatkowo 18 funkcjonariuszy na każdą jednostkę. Problem polega na tym, że od wielu lat budżet Służby Więziennej – pomimo wzrostu – nie zamyka się do końca. Część wakatów jest utrzymywana tylko po to, aby zapewnić Służbie środki finansowe na odprawy, nagrody jubileuszowe i tak dalej. Te pieniądze pochodzą ze środków przeznaczonych na uzupełnienie wakatów.

Co więcej, w budżecie brakuje pieniędzy na nadgodziny dla funkcjonariuszy. W 2019 roku Zjednoczona Prawica uchwaliła ustawę dotyczącą nadgodzin, ale nie przeznaczyła na to dodatkowych środków. My jako Solidarność zwracaliśmy wielokrotnie na to uwagę, że tych środków finansowych na Służbę Więzienną wciąż jest za mało. A przecież ani wspomniane wakaty, ani nadgodziny w służbie nie są pożądane. Trudno jest mówić o normalnej pracy, gdy ktoś przychodzi ósmy dzień z rzędu na 12-godzinną dniówkę.

Jeżeli kierownictwo uważa, że te brakujące wakaty nie są dużym obciążeniem dla służby, to proponowałbym, aby w takim samym procencie zwakatowane były Okręgowe Inspektoraty Służby Więziennej i Centralny Zarząd Służby Więziennej, bo w tej chwili brakuje ludzi w jednostkach podstawowych, a nie w centrali i okręgowych inspektoratach. Jeżeli mamy 5 czy 10 procent wakatów w zakładach karnych i aresztach śledczych, to utrzymujmy taki sam procent wakatów w Centralnym Zarządzie SW i Okręgowych Inspektoratach.

W POLSCE MAMY JEDNEGO FUNKCJONARIUSZA, KTÓRY PRACUJE BEZPOŚREDNIO Z CZTEREMA OSADZONYMI. W BARDZIEJ CYWILIZOWANYCH KRAJACH JEST TO TYLKO DWÓCH OSADZONYCH.

eprasa.pl 739e5c70ee

– Jakie trudności powodują w Państwa służbie braki kadrowe?

– Ludzi brakuje w jednostkach podstawowych, czyli tam, gdzie wykonywana jest najtrudniejsza praca w bezpośrednim kontakcie z osadzonymi. Brakuje nam zarówno oddziałowych, jak i wychowawców. Na każdym oddziale powinno dyżurować co najmniej dwóch oddziałowych. Z wiadomych względów nie możemy na służbie pozostawić samotnie w celi osadzonego, bo może na przykład popełnić samobójstwo. Oddziałowy musi się dwoić i troić, żeby do tego nie doszło. Gdybyśmy mieli więcej ludzi, to nie doszłoby do dramatu z Rzeszowa, gdzie zamordowana została nasza koleżanka, pani psycholog, która została w pomieszczeniu sam na sam z oprawcą. Niestety, jest nas stosunkowo mało, a służba jest trudna i niewidoczna.

GDYBYŚMY MIELI WIĘCEJ LUDZI, TO NIE DOSZŁOBY DO DRAMATU Z RZESZOWA, GDZIE ZAMORDOWANA ZOSTAŁA PSYCHOLOG, KTÓRA ZOSTAŁA W POMIESZCZENIU SAM NA SAM Z OPRAWCĄ.

– A czy zgadza się Pan ze zdaniem płk. Pecka, że niektóre piony Służby Więziennej powinny być obsadzone przez pracowników cywilnych zamiast funkcjonariuszy SW? Chodzi o stanowiska prawnicze, administracyjne, finansowe czy kadrowe.

– Myślę, że można o tym rozmawiać, ale takie zmiany należy wprowadzać ewolucyjnie, a nie rewolucyjne. I tylko pod warunkiem, że wynagrodzenia pracowników cywilnych nie będą odbiegać od tych, które otrzymywali na tych stanowiskach funkcjonariusze Służby Więziennej. Wzmocnienie cywilne stanowisk administracyjnych jak najbardziej tak, ale na normalnych, zdrowych zasadach finansowych. Solidarność jest zwolennikiem włączenia Korpusu Służby Cywilnej do Służby Więziennej.

OD WIELU LAT BUDŻET SW NIE ZAMYKA SIĘ DO KOŃCA. CZĘŚĆ WAKATÓW JEST UTRZYMYWANA TYLKO PO TO, ABY ZAPEWNIĆ ŚRODKI FINANSOWE NA ODPRAWY CZY NAGRODY JUBILEUSZOWE.

– Czego najbardziej potrzebuje teraz Służba Więzienna? Zmian w Kodeksie karnym, likwidacji Inspektoratu Wewnętrznego Służby Więziennej czy uzupełnienia wspomnianych wakatów?

– Dla mnie priorytetem jest przede wszystkim doetatyzowanie Służby Więziennej, a więc uzupełnienie brakujących wakatów. Po drugie, wprowadzenie tego rozwiązania, o którym mówił płk Pecka, czyli Korpusu Służby Cywilnej w liczbie 3–4 tys. etatów. Dzięki temu nasza Służba wzmocniłaby się i łatwiej byłoby funkcjonariuszom wykonywać zadania, których ciągle przybywa. Co do Inspektoratu Wewnętrznego Służby Więziennej to Solidarność od samego początku kwestionowała to, ile pieniędzy jest przeznaczanych na tę instytucję. Utrzymywanie tak dużej jednostki organizacyjnej jest naszym zdaniem mało zasadne.

Chcielibyśmy także wprowadzenia przejrzystej ścieżki rozwoju zawodowego dla funkcjonariuszy. Mogę powiedzieć, że kolejne ustawy modernizacyjne dołożyły nam środków: wymieniliśmy flotę samochodów, łączność, jednostki zostały unowocześnione – korzystają na przykład z fotowoltaiki – ale nadal jesteśmy jedną nogą w PRL-u. Brakuje wśród funkcjonariuszy tego przeświadczenia, że warto się starać, bo ich rozwój zawodowy uzależniony jest wyłącznie od ich zaangażowania, kompetencji, wykształcenia i ciężkiej pracy. Żadne pozamerytoryczne elementy nie powinny decydować o ich awansie. To należy zmienić.

eprasa.pl 739e5c70ee

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Cezary Krysztopa

Kocham wiosnę. Ale ona mnie nie kocha

Uwielbiam wiosnę, naprawdę. Oczywiście każda pora roku ma swoje zalety, zima – o ile jest zimą – ma w sobie swego rodzaju sterylność, czystość, doskonałość. Jesień jest melancholijna i dopóki nie zmienia się w stosy błota, bajecznie kolorowa. Lato kojarzy się z wakacjami i brakiem konieczności noszenia na sobie trzydziestu warstw ubrań.

No, ale jednocześnie zimą jest zimno, a jako człowiek pochodzący z Podlasia mam już czasem trochę dosyć zimna, którego nie odczuwa się już jako zimno, tylko bardziej jako ból palców dłoni i stóp. W jeszcze większym stopniu mam dosyć zim, które zim nie przypominają i są tylko jednym wielkim pasmem złej pogody. Jesień wpędza mnie w jakieś stany „depresyjne", szczególnie ze względu na zapowiedź zimy, a latem jest mi najczęściej zwyczajnie za gorąco. Jeśli temperatura przekraczająca 30 stopni trwa dłużej niż trzy dni, przestaję jeść, zaczynam chudnąć i czuję się chory.

Jedyną doskonałą porą roku jest wiosna. Wiosna, która daje ulgę po zimie. Wiosna, która niesie ze sobą nowe życie, wspaniałe zapachy (nie są to najczęściej zapachy dla mnie, ja mam katar od prawie 50 lat, co mnie na zapachy uodparnia, a żeby coś poczuć, muszę to sobie niemalże włożyć do nosa) i obietnicę lepszej przyszłości. Zestawienie koloru wiosennego, błękitnego, czystego nieba z kolorem czystej, świeżej zieleni świeżo wybujałych roślin bardzo mnie uspokaja i nastawia pozytywnie do świata i ludzi. Wiosną czuję się młodszy, czuję, że dam radę, że na pewno czeka mnie jeszcze mnóstwo wspaniałych przygód.

Zresztą wiosną mam urodziny, wiosną urodziny ma dwóch z trzech moich Synów, wiosną urodziny mają moi przyjaciele. Wiosną mogę sobie powiedzieć: „Jeszcze tyle tego roku przede mną, czas wcale tak szybko nie leci" i mogę mieć nadzieję, że przede mną jeszcze co najmniej kilkadziesiąt wiosen. Uwielbiam wiosnę.

Niestety bez wzajemności. Czasem mam wrażenie, że kiedy wiosna widzi z daleka nadbiegającego Krysztopę, przechodzi na drugą stronę ulicy – „Rany, znowu ten szur" – myśli sobie zapewne. I „wita" mnie atakiem alergii. Zawsze z zaskoczenia. Nigdy żadne testy nie wykazały, na co jestem uczulony, więc tak do końca nie wiem. Po prostu budzę się któregoś wiosennego ranka z nosem i gardłem tak zawalonymi, jakbym miał jakieś zapalenie oskrzeli. Oszczędzę Wam opisu tego, co wtedy zaczyna ze mnie wylatywać.

Tak więc trudna to miłość, ten nasz związek z wiosną. W jakimś sensie nieszczęśliwa, na pewno jednostronna. Ja za nią łażę i usiłuję powąchać, a ona się ode mnie opędza, żeby nie powiedzieć, że raczej usiłuje przepędzić, nasyłając plagi – „Zabierzcie ode mnie tego namolnego Krysztopę" – mamrocze zapewne pod nosem.

W gruncie rzeczy to jednak bez znaczenia. I tak ją kocham.

eprasa.pl 739e5c70ee

PRAWO

Skutki orzeczenia o winie W PROCESIE ROZWODOWYM

W końcu zrozumiałam, że nie ma na co czekać, on się nie zmieni, muszę od niego odejść. Myślę, że rozwód nie jest łatwy, ale życie przez 25 lat z osobą, która tak naprawdę cię nie kocha, nie ma sensu. Zrozumiałam, że żyję w nieudanym związku, gdzie ta druga strona nie tylko się nie stara, ale też go niszczy, a może raczej powinnam powiedzieć – niszczy mnie i to każdego dnia, zwłaszcza psychicznie. Stąd mam pytanie, jedno z wielu kłębiących się aktualnie w mojej głowie, **czy orzeczenie o winie coś zmienia**? Czy może mieć wpływ na podział majątku?

Tomasz Oleksiewicz, radca prawny

W procesie rozwodowym jednym z kluczowych momentów jest orzeczenie sądu dotyczące winy za rozpad małżeństwa. Takie orzeczenie może mieć istotne konsekwencje dla obu stron oraz ich dzieci, zarówno pod względem prawnym, jak i emocjonalnym. W niniejszym artykule przyjrzymy się bliżej skutkom orzeczenia o winie w prawie polskim.

Przyczyną rozkładu pożycia może być każda okoliczność, a obowiązujące przepisy prawa nie uzależniają możliwości uzyskania rozwodu od wystąpienia konkretnej przyczyny. Sąd powinien wszechstronnie wyjaśnić, jakie były przyczyny rozkładu małżeństwa, to znaczy ustalić, jakie okoliczności doprowadziły do jego powstania. W doktrynie podaje się jako przykłady zawinienia między innymi: naruszenie obowiązku wierności, czyli inaczej mówiąc – zdradę, zmianę religii, agresję i stosowanie przemocy, w tym psychicznej, poniżanie, odbieranie godności czy odmawianie równego poziomu życia, ale także zaniedbania w sferze współdziałania dla dobra rodziny, niechęć utrzymywania rodziny czy celowe niepodejmowanie pracy zarobkowej, porzucenie współmałżonka, ale może to być także odmowa pożycia fizycznego, nałogi czy hazard. Orzeczenie o winie może skutkować konsekwencjami prawnymi dla stron procesu rozwodowego. Jedną z głównych konsekwencji jest często większa odpowiedzialność alimentacyjna osoby uznanej za winną. Ustalenie, że małżonek ponosi winę za rozkład pożycia, poza kwestiami moralnymi, ma właśnie znaczenie prawne. Małżonek, który nie został uznany za wyłącznie winnego rozkładu pożycia, może np. żądać od rozwiedzionego małżonka dostarczania środków utrzymania, o ile popadnie w niedostatek.

Czy orzeczenie o winie może mieć wpływ na podział majątku małżeńskiego? Wina rozkładu pożycia małżeńskiego, stwierdzona w wyroku rozwodowym, ostatecznie nie przesądza o istnieniu ważnych powodów, o których mowa w art. 43 § 2 ustawy z 25 lutego 1964 r. Kodeks rodzinny i opiekuńczy, gdzie ustawodawca wyjaśnia, że „z ważnych powodów każdy z małżonków może żądać, ażeby ustalenie udziałów w majątku wspólnym nastąpiło z uwzględnieniem stopnia, w którym każdy z nich przyczynił się do powstania tego majątku [Postanowienie Sądu Najwyższego – Izba Cywilna z dnia 7 czerwca 2000 r. III CKN 455/00]. Stąd warto dodać, że wbrew powszechnemu poglądowi orzeczenie winy jednego z małżonków za rozkład pożycia małżeńskiego nie ma wpływu na podział majątku wspólnego. Na skutek tego małżonek, który w wyroku rozwodowym został uznany za winnego za rozkład pożycia małżeńskiego, ma takie samo prawo do majątku wspólnego, jak małżonek niewinny.

eprasa.pl 739e5c70ee

PRZEMIESZCZANIE SIĘ PRACOWNIKA a czas pracy

Nie wymaga szerszego uzasadnienia stwierdzenie, że czas pracy to zagadnienie, które odgrywa olbrzymią rolę w codziennym funkcjonowaniu pracowników. Nie tylko wpływa na wysokość wynagrodzenia (np. dodatkowo płatna praca w godzinach nadliczbowych), ale także przez pryzmat czasu pracy następuje rozgraniczenie sfery zawodowej od prywatnej.

Dr **Jakub Szmit**, główny specjalista w Zespole Prawnym KK NSZZ „Solidarność"

Tak istotne zagadnienie powinno zatem być poddane jak najbardziej precyzyjnej regulacji, żeby nie prowadzić do powstawania wątpliwości i sporów co do kwalifikacji danego przedziału czasu jako czasu pracy lub czasu wolnego. Niestety, regulacje dotyczące czasu pracy są jednymi z tych, które rodzą najwięcej trudności w ich praktycznym stosowaniu. Najbardziej jaskrawym tego przykładem jest fakt, że sam termin „czas pracy" jest zdefiniowany w Kodeksie pracy (zgodnie za art. 128 § 1 k.p. czasem pracy jest czas, w którym pracownik pozostaje w dyspozycji pracodawcy w zakładzie pracy lub w innym miejscu wyznaczonym do wykonywania pracy), a nadal uznanie niektórych przedziałów czasu za czas pracy jest wątpliwe. Szczególne wątpliwości budzi ocena takich okresów, w trakcie których pracownik nie tyle faktycznie wykonuje określone czynności wynikające z rodzaju pracy, ale przemieszcza się. Żeby być bardziej precyzyjnym, nie chodzi tu o typową podróż służbową (która z założenia ma charakter incydentalny), ale o bardziej stały element świadczenia pracy.

W związku z tym warto wskazać, jak ten problem postrzega Sąd Najwyższy. W pierwszym rzędzie można przywołać wyrok z dnia 24 września 2020 r., III PK 38/19, w myśl którego „Czasem pracy jest również czas, który pracownik musi poświęcić na przemieszczanie się po terenie zakładu pracy w celu wykonania kolejnych czynności pracowniczych wynikających z nałożonych na niego obowiązków". Spostrzeżenie to ma istotne znaczenie zwłaszcza w przypadkach, gdy teren zakładu pracy jest znaczny i przemieszczanie się pomiędzy jego poszczególnymi częściami może sumarycznie wynosić zauważalną część dniówki.

Kolejne orzeczenie to wyrok z dnia 26 października 2022 r. II PSKP 11/22. W tym judykacie SN uznał, że: „Jest czasem pracy czas przejazdów pracownika z jednego umówionego przez strony miejsca pracy do drugiego miejsca pracy, też oznaczonego w umowie o pracę, samochodem służbowym pracodawcy, który ponosił koszty zakupu paliwa (art. 128 § 1 k.p.)". To rozstrzygnięcie może mieć szczególne znacznie dla osób pracujących częściowo zdalnie, jeżeli w umowie o pracę jako miejsce pracy wskazano zarówno zakład pracy, jak i miejsce zamieszkania pracownika.

Z kolei kolejna wypowiedź SN będzie miała dużą wagę dla osób, których charakter pracy powoduje, że ich miejsce pracy wyznaczone jest obszarem, a nie jako konkretny punkt. W postanowieniu z dnia 19 sierpnia 2020 r., II PK 96/19 SN uznał bowiem, że: „Jeśli z istoty zatrudnienia wynika konieczność przemieszczania się, to należy uznać, że czynnik ten jest elementem procesu pracy. Oznacza to, że poruszanie się pracownika w granicach umownego miejsca wykonywania pracy, w celu wykonywania pracy określonego rodzaju na rzecz pracodawcy, mieści się w zakresie desygnatów pojęcia pozostawanie w dyspozycji pracodawcy w rozumieniu art. 128 § 1 k.p.".

PYTANIA DO EKSPERTÓW

Pytania do naszych ekspertów prosimy słać na adres **redakcja@tygodniksolidarnosc.com** (w tytule wiadomości należy wpisać „**prośba o poradę prawną**") lub listownie na adres: „Tygodnik Solidarność", ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa. Redakcja zapewnia anonimowość nadawcy.

Pytanie powinno być napisane w sposób zwięzły i dotyczyć jednego problemu.

eprasa.pl 739e5c70ee

SPORT

35 lat od tragedii NA HILLSBOROUGH

15 kwietnia 1989 roku wydarzyła się jedna z największych katastrof w historii piłki nożnej. Podczas meczu Pucharu Anglii między Liverpoolem a Nottingham Forest wskutek masowego **zaduszenia i zadeptania** zginęło 97 osób, a 766 zostało rannych.

Łukasz Bobruk

Ranny kibic piłkarski, Hillsborough, Sheffield, 15 kwietnia 1989 r.

Fot. Manchester Daily Express / SSPL / Forum

W latach osiemdziesiątych wystąpiło najwięcej stadionowych tragedii na świecie. W 1981 roku w Grecji z powodu zbyt długo zamkniętych bram obiektu Karaiskakis zostało zadeptanych 21 kibiców AEK Ateny i Olympiakosu Pireus. Rok później podczas starcia Pucharu UEFA między Spartakiem Moskwa a holenderskim HBC Haarlem na Łużnikach z powodu niedrożności wyjść w wyniku ścisku straciło życie 66 osób (artykuł na temat tamtej tragedii pisałem w nr. 43/2021 „Tygodnika Solidarność"). Ponadto w maju 1985 roku na meczu Bradford City – Lincoln zapaliła się drewniana konstrukcja trybuny, w wyniku czego zginęło 56 widzów, którzy zostali spaleni żywcem bądź zatruli się czadem. Ledwie kilka dni później doszło do słynnej już tragedii na Heysel, gdzie kibice Liverpoolu starli się z fanami Juventusu, co spowodowało

eprasa.pl 739e5c70ee

runięcie muru pod ciężarem sporej liczby ludzi i śmierć 39 z nich. Poskutkowało to wykluczeniem angielskich klubów z europejskich pucharów na 5 lat (Liverpoolu na 6).

Jakby mało było powyższych tragedii, w końcówce lat osiemdziesiątych w Sheffield w środkowej Anglii stała się kolejna. Piękna słoneczna pogoda nie zwiastowała strasznych wydarzeń. Szykowało się wielkie święto, gdyż walka toczyła się o awans do finału najważniejszych piłkarskich rozgrywek w tym kraju, czyli Pucharu Anglii. Było jednak kilka „ale", które miały wpływ na nadchodzące nieszczęście.

Mimo iż spodziewano się większej liczby fanów Liverpoolu, umieszczono ich na mniejszej trybunie niż kibiców z Nottingham. Ponadto stadion Hillsborough od dziesięciu lat nie posiadał ważnego certyfikatu bezpieczeństwa. Przez niewłaściwy dobór trybun w 1981 roku wydarzył się incydent, w którym rannych zostało 38 fanów Tottenhamu i Wolverhampton. Kibiców „Spurs" też było więcej, a umieszczeni zostali na mniejszej trybunie, co spowodowało tłok i obrażenia. Choć na 6 lat zakazano na tym obiekcie organizacji większych meczów, to i tak nie wyciągnięto wniosków z tamtego wydarzenia. Ani nie przebudowano stadionu, ani nie zwiększono w żaden sposób jego bezpieczeństwa.

I tak oto feralnego 15 kwietnia 1989 roku dla ponad dziesięciu tysięcy fanów Liverpoolu otwarto jedynie 7 z 25 bramek. Pół godziny przed meczem połowa z nich nie mogła się dostać na swoją trybunę. Powstał zator, którego dodatkową przyczyną było otwarcie tylko dwóch kas. Droga do trybuny Leppings Lane wiodła przez tunel. Dopiero o 14.52 policjanci zgodzili się ją otworzyć. W tunelu jednak również utworzył się zator. Przyczynili się do niego również policjanci, którzy nie wskazali kibicom drogi do luźniejszych trybun.

Dwie minuty później piłkarze wyszli na murawę. Kibice chcieli przejść jak najszybciej, chcąc ich zobaczyć jeszcze przed pierwszym gwizdkiem. Sytuacji nie ułatwiał fakt, że dochodzili kolejni fani, którzy z powodu drogowych utrudnień dotarli na Hillsborough tuż przed początkiem meczu. Ci napierali coraz bardziej na ludzi, którzy próbowali wejść na Leppings Lane. Mecz zaczął się punktualnie o 15.00. Pierwszy gwizdek sędziego spowodował, że fani jeszcze szybciej chcieli dostać się na miejsca. A dochodzący tłum napierał na bramy coraz bardziej...

Policja nie rozumiała powagi sytuacji, myśląc, że kibice „The Reds" znów rozrabiają. Lecz tam zaczęła dziać się tragedia. W 4. minucie Peter Beardsley z Liverpoolu trafił w poprzeczkę. Sam wspominał potem, że dobrze, iż nie zdobył bramki, gdyż mogło być więcej ofiar z racji reakcji pozostałych trybun. Dwie minuty potem na murawę wbiegł policjant Roger Greenwood i nakazał sędziemu, by przerwał grę. Zapanował totalny chaos. Wtedy wydarzyła się rzecz najstraszniejsza tego dnia: runęła jedna z barier, odgradzających boisko od trybuny, co spowodowane było napierającą masą ludzi. Liczba ofiar śmiertelnych rosła szybko. Najmłodszą ofiarą był 10-letni Jon-Paul Gilhooley, kuzyn legendy Liverpoolu Stevena Gerrarda. Najstarszą – 67-letni Gerard Baron, którego brat Kevin był w przeszłości piłkarzem tego klubu. 94 osoby zmarły tego samego dnia, przeważnie na zamartwicę. Mieli również urazy mózgu, żeber i okolic klatki piersiowej. Kolejna ofiara zmarła 2 dni później, następna w 1993 roku. Ostatnią był Andrew Devine, który wskutek okaleczeń nie mógł samodzielnie funkcjonować i zmarł w 2021 roku. Za ofiarę tragedii niektórzy uważają również Stephena Whittle'a, który tego dnia nie mógł pójść na mecz i odsprzedał bilet przyjacielowi, który zginął na Hillsborough. Lecz dręczony wyrzutami sumienia popełnił samobójstwo 22 lutego 2011 roku, wcześniej finansując pomnik upamiętniający tamte wydarzenia.

RODZINY OFIAR TRAGEDII Z HILLSBOROUGH ZAŁOŻYŁY FUNDACJĘ FAMILY SUPPORT GROUP. KIERUJE NIĄ TREVOR HICKS, KTÓRY STRACIŁ W FERALNYM MECZU DWIE CÓRKI.

Dzień później na miejsce zdarzenia wraz z premier Margaret Thatcher przybył minister spraw wewnętrznych Douglas Hurd. 17 kwietnia powierzono przeprowadzenie dochodzenia w sprawie katastrofy ministrowi sprawiedliwości Peterowi Taylorowi, który był autorem tzw. Raportu Taylora. Nie wskazał w nim wprost winnego tragedii, przez co odbyło się już kilka procesów w tej sprawie (policjanci zeznawali inaczej niż świadkowie i poszkodowani), gdzie oskarżenia stawiane były zarówno policji, kibicom, jak i organizatorom meczu, ale za to dzięki raportowi udało się zwiększyć standardy bezpieczeństwa na stadionach w Wielkiej Brytanii (monitoring, likwidacja miejsc stojących, numerowanie krzesełek).

Na temat tragedii na Hillsborough powstały książki, filmy, piosenki i sztuki teatralne. Dodatkowo Liverpool wprowadził zasadę, że 15 kwietnia nie gra żadnego meczu. Zawodnicy tego klubu wiosną występują z numerem 96 na koszulkach, symbolizującym ofiary tamtych wydarzeń. 10 lat od tragedii odsłonięto okolicznościowy pomnik. Ponadto Steven Gerrard przekazał 96 tysięcy funtów rodzinom poszkodowanym wskutek tej tragedii.

Wieczna pamięć ofiarom z Hillsborough! You'll Never Walk Alone!

eprasa.pl 739e5c70ee

RYSUNEK NA KONIEC KRYSZTOPA

Piszą dla nas

Magdalena Okraska, (W świecie..., s. 19) publicystka, pisarka i działaczka społeczna związana ze środowiskiem pisma „Nowy Obywatel". Autorka dwóch głośnych książek opisujących Polskę z perspektywy mniejszych miast i miasteczek. Jej „Ziemia jałowa. Opowieść o Zagłębiu" ukazała się w 2018 roku (Wydawnictwo Trzecia Strona), „Nie ma i nie będzie" (Wydawnictwo Ha!art) w roku 2022.

Jakub Pacan, (Wywłaszczonych..., s. 10) dziennikarz „TySola" od 2018 roku. Pisze o polityce, religii oraz... lasach. Inicjator świetnego cyklu rozmów o kondycji polskiego konserwatyzmu po wyborach 2023 roku, który ukazywał się w numerach 8–14/2024 naszego tygodnika.

Wojciech Stanisławski, (Czytam..., s. 44) historyk, publicysta i krytyk literacki. Współtwórca Muzeum Historii Polski. „Listy 1969–1996. Jerzy Giedroyc, Michaił Heller" (UKSW, 2023) to jego najnowsza książka.

Rafał Woś, (Nowa terapia szokowa, s. 5) zastępca redaktora naczelnego „Tygodnika Solidarność". Z „TySolem" związany od roku 2021. Autor trzech scenariuszy do filmów kinowych („Gierek") oraz pięciu książek. Ostatnia z nich to „Dług jest dobry. Wczoraj, dziś i jutro najważniejszej innowacji w dziejach świata" (Ha!art, 2024).

Teresa Wójcik (Zbiedniejemy..., s. 6) dla „Tygodnika Solidarność" pisze od 1991 roku. Nasza redakcyjna specjalistka od najtwardszych tematów gospodarczych oraz geopolitycznych.

PRENUMERATA

Prenumeratę „Tygodnika Solidarność" można zamówić na cztery sposoby:

1) Bezpośrednio u wydawcy „TS" – TYSOL Sp. z o.o., 00-838 Warszawa, ul. Prosta 30, tel. 22 882 27 80, e-mail: prenumerata@tygodniksolidarnosc.com numer konta: Mbank 58 1140 1065 0000 2038 9400 1001. Prenumerata przyjmowana jest na dowolny okres i w dowolnym momencie;
2) w wersji elektronicznej przez: **tysol.pl**;
3) „RUCH" SA na stronie: prenumerata.ruch.com.pl;
4) Kolporter SA na stronie: kolporter.com.pl.

Prenumerata krajowa

- I kwartał – 97,50 zł (13 wydań)
- II kwartał – 97,50 zł (13 wydań)
- I półrocze – 195,00 zł (od nr. 1 do 26)
- III kwartał – 97,50 zł (13 wydań)
- IV kwartał – 97,50 zł (13 wydań)
- II półrocze – 195,00 zł (od nr. 27 do 53)

Roczna prenumerata – 390,00 zł

Prenumerata zagraniczna

- Roczna prenumerata – 240 euro – przesyłka priorytetowa

Więcej na: www.tysol.pl/s6-Prenumerata-tygodnika-solidarnosc
Przy większych zamówieniach cena podlega negocjacji.
Koszty wysyłki ponosi wydawca.

eprasa.pl 739e5c70ee

WYDAWNICTWO BIAŁY KRUK zaprasza na spotkanie z BARBARĄ NOWAK

Była małopolska kurator oświaty i radna sejmiku województwa małopolskiego:

O przyszłości Polski i naszej edukacji

Prowadzenie:
red. Tomasz Gdula

256 str.,
format 16,5 x 23,5 cm,
oprawa kartonowa
ze skrzydełkami.

22 kwietnia (poniedziałek) – godz. 20.00,
Klub Ronina SDP, ul. Foksal 3/5, Warszawa

Możliwość nabycia książek z rabatem i autografem autorki. Wstęp wolny!

10-lecie kanonizacji Jana Pawła II

zapraszają Ks. Kard. Stanisław Dziwisz i Wydawnictwo Biały Kruk

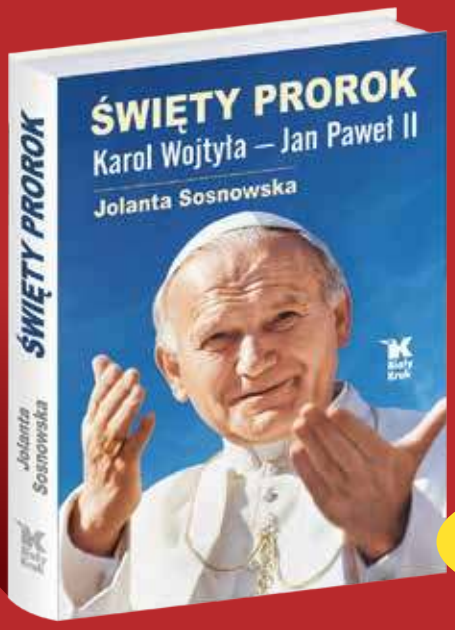

27.04.2024 r.
o godz. 17.00,
do Sali „Sokoła"
w Krakowie
ul. Marszałka
J. Piłsudskiego 27

Od godz. 16.00 kiermasz książek Białego Kruka (duże rabaty). Autografy! Wstęp wolny!

PREMIERA NOWEJ BIOGRAFII

www.bialykruk.pl

Prowadzenie:
Anna Popek

Otwarcie:
Ks. prof. Jan Machniak

Wystąpią:
Adam Bujak
Ks. prof. Janusz Królikowski
Prof. Andrzej Nowak
Barbara Nowak
Prof. Wojciech Polak
Prof. Wojciech Roszkowski
Jolanta Sosnowska

ZAMÓW: 12/260 32 90, 12/254 56 04, 12/254 56 02 lub e-mail: handlowy@bialykruk.pl.
Przy zamówieniu powyżej 200 zł koszty przesyłki (17 zł) ponosi wydawnictwo.

eprasa.pl 739e5c70ee

Wielka manifestacja NSZZ „Solidarność”

WIDZIMY SIĘ
NA DEMONSTRACJI
10.05 W WARSZAWIE

#PreczZzielonymŁadem

NSZZ Solidarność

NSZZ RI Solidarność